

Opłata pocztowa uszczelniona rytcą.

WIAS

Biblioteka
Uniwersytetu Gdańskiego

CIT 9037

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok VI

Łódź, 20 marca 1949 r.

Nr 12 (191)

W NUMERZE
między innymi:

- J. Drda — Wolność pisarzy
L. Novomesky — Literatura słowacka
Ankieta „Wsi“ — Co myślą Francuzi o sytuacji w swej ojczyźnie
T. Orlewicz — Robotnicy w Anglii
J. Baculewski — Inteligencja techniczna
P. Chmura — Etnografia w pamiętniku
W. Breowicz — Pamiętnik
J. Lewański — O Gojawicyńskiej
A. Czechow — Niepokój publiczny
J. Bartecki — Wyższe studia na prowincji
P. Pigwa — Oczekiwanie na książkę



Victor Barvitijs (1823—1921)



Lev Šimák (ur. 1896)

Hieronim Edward Michalski

O ZJEŹDZIE PISARZY CZECHOSŁOWACKICH

L iteratura czechosłowacka od chwili ukształtowania się wzajemnych stosunków między naszymi krajami na bazie realnej polityki stanowi coraz większą pozycję w sferze naszych zainteresowań. Uwidaczniają to wymownie fakty w dziedzinie wydawniczej: Oto bilans ogłoszonych u nas przekładów z czeskiego w r. 1938, a więc w okresie, kiedy nastawienia fałszywej polityki nie zostawały bez konsekwencji nawet na sprawy współpracy kulturalnej, zamykał się dosłownie jedną pozycją (a i to było akurat brukowe romansidło o eks-królu Edwardzie i pani Simpson), podczas gdy bilans r. 1948 objął już kilkanaście pozycji. A przecież zainteresowanie znajduje wyraz nie tylko w publikacjach książkowych. Notujemy jeszcze rozległą i coraz narastającą działalność pism, nie tylko udostępniających tłumaczenia, ale i przynoszących artykuły, sprawozdania i wiadomości.

To coraz większe z naszej strony zainteresowanie literaturą czechosłowacką ma swoje głębsze przesłanki. Szukamy w kulturze światowej tych wartości, które pozwalają nam wzbogacić kulturę narodową. Więcej. Dzisiaj, w dobie wzmożonej presji imperializmu, który, podlegając do nowej wojny, w ślad za presją polityczną i ekonomiczną próbuje również wywierać bardzo wyraźną presję ideologiczną, zmierzającą do wywołania w umysłach zamęt i podzielenia świata na dwa obozy, — szukamy w kulturze światowej międzynarodowej solidarności idei postępu i pokoju. Literatura czechosłowacka, posiadająca silne i piękne tradycje postępowe, staje się więc tym bliższym sojusznikiem wysiłków naszej literatury na drodze do postępu i pokoju.

Przełożone dotychczas utwory pisarzy czechosłowackich ukazują różne postawy i różne nurty dążeń. Jest to zrozumiałe, są to bowiem jeszcze utwory z poprzedniego okresu, odbijające w sobie wszystkie jego przeciwieństwa. Czechosłowacja po lutym 1948 r., po złamaniu reakcji wkroczyła zdecydowanie na drogę budowy socjalizmu. Nowy okres, mobilizujący wysiłki mas ludowych, wymaga również mobilizacji wysiłków literatury. Nowy okres stawia przed pisarzami nowe, konkretne zadania. Literatura, która narodzi się w tym okresie, będzie niewątpliwie już inna od tej, z którą mieliśmy możliwość poznać się dotychczas.

Na pytanie, jaka powinna być i jaka będzie literatura nowej, kroczącej ku socja-



Dni lutowe w Pradze

lizmowi Czechosłowacji, dał odpowiedź odbyty w Pradze w dniach od 4 do 6 marca Zjazd Pisarzy Czechosłowackich. Jechaliśmy z Stefanem Żółkiewskim do Pragi jako delegaci Związku Literatów Polskich, z ciekawością. Tego rodzaju przeciw zjazdy, jak wiemy z naszego terenu, dostarczają zawsze obserwatorowi okazji do poznania narastającej problematyki zarówno życia literackiego, jak i literatury, głównych napięć i tendencji rozwojowych, obrazu krystalizowania się świadomości zadań, które stają przed literaturą i które pragnie ona podjąć.

Zjazd praski, jeżeli wolno w ogóle mimo istotnych podobieństw w problematyce czynić takie porównania, miał bardziej zasadnicze dla rozwoju życia literackiego Czechosłowacji znaczenie, niż u nas styczniowy zjazd szczeciński. Całkowicie słusznie podkreślali czechosłowaccy koledzy jego **przełomowe, historyczne znaczenie**. Leżało ono na dwóch płaszczyznach: ideowej i organizacyjnej. Najważniejsza oczywiście była płaszczyzna ideowa, wyrażająca się w tezie zjazdu: „literatura czechosłowacka musi przejść taki przełom, jakim dla kraju były wydarzenia lutego 1948 r.“ Z tej tezy bowiem jako konkretne wnioski realizacyjne wpływały wszystkie posunięcia organizacyjne.

Dotychczas w Czechosłowacji działały

dwa odrębne związki literackie: Syndykat Pisarzy Czeskich oraz Stowarzyszenie Pisarzy Słowackich. Zjazd praski położył kres tej dwoistości, wykorzystywanej częstokroć przez reakcyjnych szowinistów do prób nacjonalistycznego różniczkowania kultury Czechosłowacji. W szeregu wystąpień, a przede wszystkim w referacie Novomeskyego, wiceministra szkolnictwa, nauki i sztuki na Słowację, podkreślano jedność celów i dążeń literatury pisanej w językach czeskim i słowackim i konieczność stworzenia realnej bazy organizacyjnej do stopienia dwujęzycznej literatury w jedną organiczną literaturę narodową. Przełamanie ciasnego nacjonalizmu zaliczyć należy niewątpliwie do pozytywnych osiągnięć zjazdu.

Na podkreślenie zasługuje jako charakterystyczna cecha i osiągnięcie zjazdu praskiego jeszcze jedno posunięcie organizacyjne. Sam dotychczasowy Syndykat Pisarzy Czeskich liczył 1900 członków. Nowo powstały połączony Związek Pisarzy Czechosłowackich liczy obecnie tylko 280 członków. Specjalnie wyłoniona 50-osobowa komisja weryfikacyjna przeprowadziła selekcję olbrzymiej, przeważnie zresztą przypadkowo znajdującej się w związkach masy, weryfikując w prawach członków jedynie czynnych i twórczych pisarzy. W ten sposób nowopowstały związek, na

którego czele stanął znany w Polsce pisarz Jan Drda, stał się ciałem operatywnym, mogącym dzięki swojej zwartości i jednolitości niewątpliwie skuteczniejsze kształtować życie literackie kraju i wpływać na tendencje rozwojowe literatury, stał się nie tylko organizacją zawodową, ale przede wszystkim ideową, stawiającą i podejmującą konkretne zadania — związania literatury z nurtem dokonywających się przeobrażeń, wypełnienia przez literaturę swojej roli w służbie budowy socjalizmu.

Zjazd praski, obradujący w gmachu Narodniho Zgromadzenia, wzbudził ogromne zainteresowanie w kraju. Oprawa jego była bardzo uroczysta. Delegację pisarzy przyjął na specjalnej audjencji prezydent Gottwald. Obradujący zjazd witali: marszałek parlamentu — dr. Oldřich John, premier — Antonin Zapotocky, minister szkolnictwa, nauki i sztuki — prof. Zdenek Nejedlý, minister informacji i oświaty — Waclaw Kopecky, wiceminister szkolnictwa, nauki i sztuki na Słowację — L. Novomesky. Obradom zaś przysłuchiwali się nadto wicemarszałek parlamentu — Anerzka Hodinowa-Spurna, wicepremier — Fierlinger, minister spraw zagranicznych — Clementis, minister rolnictwa — Durisz, prezydent Pragi — dr. Vacek.

W zjeździe uczestniczyli również liczni literaccy goście zagraniczni: Delegacja radziecka — Wadim Kożewnikow, Borys Polewoj, Stiepan Szczipaczow, Iwan Anisimow oraz w pierwszym dniu, bawiący przejazdem z Paryża Aleksander Fadiejew. Delegaci rumuńscy — Jebeleana. i Wiltner, delegat węgierski — Gergely, pisarz francuski — Pozner, brazylijski — Jorge Amado, argentyński — Alfredo Varela, amerykański — Michael Gold, norweski — Hansen, poeta angielski Dylan Thomas, wreszcie delegacja polska.

Obecność i przemówienia zarówno przedstawicieli rządu, jak i delegatów zagranicznych pozbawione były całkowicie jakiegokolwiek cechy zdawkowej czy okolicznościowej oficjalności. Zrozumiałe jest, że zjazd pisarzy, którzy dla swojej twórczości wyznaczyli jako cel włączenie się do służby budowy socjalizmu w Czechosłowacji, musiał przyciągnąć uwagę czołowych osobistości politycznych, doceniających rolę, jaką do wypełnienia posiada literatura w kształtowaniu i mobilizowaniu mas. W przemówieniach polityków widoczne było zrozumienie warunków, decydujących o rozwoju literatury. Przemó-

Dm 171/02

wienia min. Nejedli i wicemin. Novomejskiego dawały analizę problemów kulturalnych, tradycji i tendencji postępowych. Nic stereotypowego nie było również w serdecznych przemówieniach gości zagranicznych. Pisarze, rozumiejący znaczenie, jakie literatura odgrywa i odegrać może w walce o pokój i postęp, szczególnie w obecnym okresie naporu imperializmu, dawali wyraz radości, że nowy Związek Pisarzy Czechosłowackich, podejmujący poważne zadania budowy socjalizmu razem z masami pracującymi, wzmacnia

ogólny front walki o pokój i postęp. Zagadnienia te nie są ani obce, ani obojętne postępowym literatom całego świata, łączącym się międzynarodową solidarnością idei budowania lepszego jutra. Trafnie podkreślił to Stefan Zólkiewski, pozdrawiając zjazd od Związku Literatów Polskich i opowiadając o naszych wysiłkach i dążeniach.

Wspomniałem już, że tezą przewodnią zjazdu praskiego, przewijającą się przez wszystkie referaty i głosy dyskusji, było hasło związania literatury z dziełem bu-

dowy socjalizmu. W związku z tym celem musiało stać się zagadnienie realizmu socjalistycznego. Trzeba stwierdzić, że zagadnienie to postawione zostało przez referentów i dyskutantów mocniej i odważniej niż na ostatnim styczniowym zjeździe naszych literatów w Szczecinie. Niewątpliwie przyczynił się do tego fakt, że Związek Pisarzy Czechosłowackich po swoich przeobrażeniach organizacyjnych stał się jednolitą organizacją w pełnym tego słowa znaczeniu ideową. Dyskusja nad ogólnymi założeniami i celami przesłoniła za-

pewne w obrazie zjazdu sprawy szczegółowej analizy obecnego stanu literatury, jej braków i osiągnięć. Niemniej jednak powaga dyskusji i powszechna zgoda z hasłem włączenia się w służbę budowania socjalizmu pozwalają postronnemu obserwatorowi sądzić, że zjazd był wyrazem przełomu, dokonującego się w literaturze czechosłowackiej, przełomu, którego rezultatem będą w niedalekiej przyszłości utwory, dające obraz przeobrażeń współczesnej Czechosłowacji.

H. E. Michalski

Jan Drda

WOLNOŚĆ PISARZY*)



Jan Drda

niem dezorientują, odizolowują nie dość uświadomionych pisarzy, aby móc ich w końcu skierować przeciwko rozwojowi i postępowi. Ich reakcyjną robotą prowadzona była wyrafinowanie. Z jednej strony pospolite dziennikarstwo oddzielało kulturę od polityki, z drugiej mieszczańscy krytycy i publicyści twierdzili, że polityka nie ma nic wspólnego z wysokimi regionami kultury, która nie powinna służyć brudnej praktyce. Odmawiali w ten sposób pisarzom prawa do uczestniczenia w życiu politycznym czyniąc z nich wyrzniętych ponad przeciętność wielmożów autonomicznego państwa Sztuki, grozili im utratą „wolności”.

Pisarze byli wolni jako część składowa całego naszego ludu. Obrona ich interesów przed ludem? Przecież to lud jest ich prawdziwym obrońcą, a pisarze jedynie u jego boku, w ścisłym połączeniu z nim mogą osiągnąć wolność i ją obronić. Wolność artystyczna to nie to, co w okresie demokracji mieszczańskiej nazywało się „wolnością tworzenia”, która pozwalała na to, by pisarz był wykorzy-

wany na ustach, najwięcej ją zdradzali. Luty wykazał, że twórczej wolności nie trzeba było bronić przed ludem, ale, że odwrotnie, lud musiał bronić wolności całego narodu.

Powiedzmy sobie teraz, w jakim miejscu znajduje się dziś nasza literatura, jakie są jej zadania na przyszłość. Jeśli przypatrzymy się okresowi od 1945 do 1948 roku zauważymy, że działo się mało w porównaniu z robotycznym entuzjazmem dwulatki, w porównaniu z tym, jak wielkie zmiany zaszły na przykład w tym okresie w przemyśle i w rolnictwie. Sami to czujemy, spotykamy się z tym w czasopiśmie, na zebraniach, na konferencjach z robotnikami, którzy pytają się nas: Gdzie są nowe książki? Dlaczego nie piszecie? Ten stan rzeczy musimy poddać dokładnej analizie.

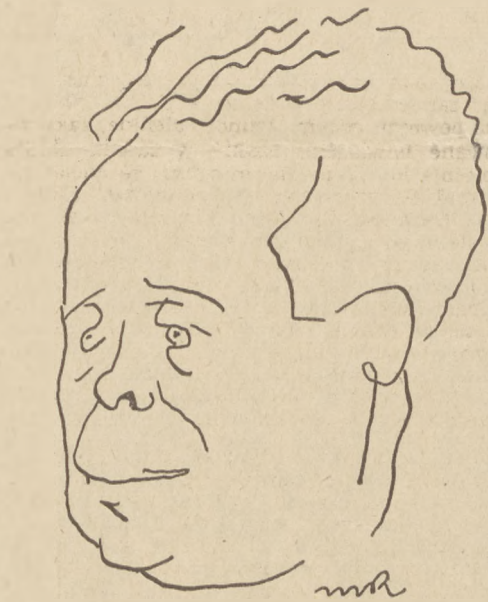
Można wskazać pięć głównych powodów, które zmniejszyły w ostatnich trzech latach siłę rozwojową naszej literatury. Towarzysz Baresz wspominał już o nich na aktywie pisarzy komunistycznych na początku zimy w ubiegłym roku, będącym niejako wstępem do dzisiejszego zjazdu:

1) Wzrastająca gwałtowność walki politycznej zmusiła wielu pisarzy postępowych do przyjęcia na siebie innych zadań i do wzięcia udziału w wykonywaniu planu rozbudowy na innych stanowiskach.

2) U innych pisarzy rozjątrzenie wydarzeń wywoływało poczucie jakiejś niepewności. Nie wynikało to z jakichś powodów koniunkturalnych, lecz ludzie tego typu co pisarze nie umieją czasem odpowiednio reagować na wartości rozwój wydarzeń politycznych.

3) Trzecim powodem była negatywna rola krytyki formalistycznej, która zamiast dawać podniecie do nowej rzeczywistości, wprowadzała pisarzy w błąd i przyczyniała się do ich dezorientacji.

4) Pisarze żyli w silnym odizolowaniu i nie posiadali bezpośredniego życiowego kontaktu z ludem oraz ze współczesną rzeczywistością.



Franciszek Halas

stywany przez wydawców, przymierając często głodem. W przedmonachijskiej republice wolność była większa niż w faszystowskich Niemczech. Nasi pisarze lubią robić to zestawienie. W Niemczech zamykali na lata, a u nas tylko na miesiące, np. Ivana Olbrachta, Fuczika, a miara wolności autora w przedmonachijskiej republice, odmierzana była wstrętnym smakiem czytelników mieszczańskich i kapitalistycznych wydawnictw.

Miarą szczodrości obrońców ówczesnej kultury była miara chęci służenia tymże obrońcom. I ostatecznie wolność ta wyglądała w ten sposób, że — cytując znaną wypowiedź Stalina — pisarz mógł swobodnie umrzeć pod mostem. A prawdziwa wolność może zaistnieć tylko tam, gdzie nie ma wykorzystujących. Widzimy więc dziś, że efektywna wolność może powstać jedynie przez uczciwe budowanie socjalizmu. Absolutnej swobodzie musimy przeciwstawić związek pisarzy z ludem pracującym, którego dzielność jest poręką wszelkich ludzkich swobód. Dobrowolnie zdecydowany marsz z ludem jest twórczą wolnością pisarza. Jak mówi Bieliński: twórczą wolność widać dopiero w harmonii z rzeczywistością.

Luty 1948 roku wykazał, że właśnie ci najwięksi krzykacze, którzy zawsze mieli



H. E. Michalski

5) Utrudnieniem były również organizacyjne niedomagania pracy pisarskiej.

Odizolowanie pisarzy prowadziło czasem do tego, że czekali oni na przepisy, jak mają pisać. Nie rozumieli hasła „Sztu-



Antoni Zapotocky

ka dla ludu”. Zdawało im się, że będą musieli rezygnować ze sztuki. My zaś dążymy do czegoś całkiem przeciwnego, celem naszym jest najwyższe mistrzostwo! Niektórym pisarzom wydawało się, że nie trzeba wcale pokazywać żywego człowieka, że wystarczy, aby bohater był głośną trąbą idei. Mylili się! Innym pisarzom natomiast wydawało się, że nasi klasycy nie mają już nic do gadania. Odpowiadam im słowami towarzysza Zdanowa: — „Abyśmy mogli klasyków przegonić trzeba, abyśmy ich przedtem dogonili”. Literatura czecha ma w swym rodowodzie J. K. Tyla, B. Niemcovą, Nerudę, Sładka, Czecha, Ivana Olbrachta i Marię Majerową.

Dziś stoimy przed zagadnieniem realizmu socjalistycznego. Wielu wydaje się, że chodzi tu o receptę, jak pisać. Istotą sprawy natomiast jest nowe wycucie życia, nowa metoda twórcza. Korzenie jego tkwią w najlepszych tradycjach naszej przeszłości kulturalnej. Należało do dobrego tonu w literaturze, że bohater był pesymistą z powodu faktu swojego istnienia. Zdrowy bohater nadawał się jedynie do wyśmiania. Dziś klasa robotnicza przystąpiła do zwycięskiej walki. Po tym, co na zachodzie odzywa się w literaturze historycznymi jękami duszy, przejętej strachem, w literaturze radzieckiej oraz w literaturach demokracji ludowej występują bohaterowie klasy robotniczej, pełni wewnętrznie pogłębionego optymizmu. Klasa robotnicza waży swe siły, by zmienić i ulepszyć świat. Odsuwa przeciwstawienie między snem a rzeczywistością. Romantyczny sen o ludzkim szczęściu staje się rzeczywistością w rewolucyjnym boju ludu pracującego.

Należy dać twórczości literackiej masowy zasięg, zyskać młodych adeptów z klasy robotniczej i chłopskiej. Trzeba umożliwić tym pisarzom, którzy dotychczas siedzieli w domu, wejście na drogę do żywej rzeczywistości, trzeba zaprowadzić ich do rzeczywistości, do konkretnych środowisk, aby znaleźli w nich tematy do swoich prac. Trzeba też, aby w pełni mogła rozwinąć się ich działalność pisarska, uwolnić ich od materialnych trosk egzystencji. Komisja twórczości Związku Pisarzy Czechosłowackich będzie przede wszystkim dawać rady młodym a organizować twórcze podjęcie wewnętrzne i zewnętrzne. Pomocą dla niej będzie pod tym względem nasza krytyka i radzieckie doświadczenia.

Drodzy przyjaciele!
Na naszym dzisiejszym zjeździe jesteśmy bogatsi o doświadczenie okresu dzielącego nas od ostatniego zjazdu pisarzy czechosłowackich, który miał miejsce w 1946 roku, a który odbywał się pod hasłem szczerej współpracy Frontu Narodowego. Nie wiedzieliśmy jednak, że są między nami i tacy, którzy jedynie udają entuzjastyczny współudział i jedność. Ówczesna rezolucja uchwalona na zjeździe mówiła o wytepieniu resztek faszyzmu u nas, odrzucała obojętny liberalizm humanistyczny, opowiadając się po stronie humanizmu socjalistycznego. Była wyrazem nadziei większości naszych pisarzy, znajdujących się na drodze do socjalizmu. Dziś jesteśmy bogatsi o polityczne doświadczenie trzech lat. W twardej walce musieliśmy wywalczyć nasz ustrój demokracji ludowej. Musieliśmy bronić przed sabotażystami dwuletniego planu gospodarczego. Lud nasz musiał się bronić przed odsunięciem go od władzy i przed wydaniem go nowemu uciskowi. Socjalizm miał być wymieciony z naszej ziemi. Trzeba było dopiero lutego i wielkiego czynu Klementa Gottwalda, aby rozbić siły reakcyjne i by droga do socjalizmu zrowu została otwarta. Na owym pierwszym zjeździe wystąpili mówcy, głoszący poradczość i poradkliwość sztuki. Dyskutowaliśmy z nimi uczciwie i długo, gdyż mieliśmy nadzieję, że poznają oni prawdę i że wejdą na drogę do socjalizmu. Zwolna demaskowali się oni jako nieprzyjaciele, którzy z wyrachowa-

*) Przemówienie na Zjeździe Pisarzy Czechosłowackich. Tytuł pochodzi od redakcji.



Maria Pujmanowa

Tadeusz Orlewicz

Położenie materialne proletariatu angielskiego

Na aktualną sytuację gospodarczą Anglii składa się cały zespół tych czynników, które charakteryzują w ostry sposób fazę gnijącego imperializmu. Wraz z zaostreniem walki o rynki zbytu, o źródła surowców, o nowy podział świata, sytuacja wewnętrzna i międzynarodowa W. Brytanii traci perspektywę na pomyślną stabilizację.

Ekspansja USA, kierowana przez wielki kapitał północno-amerykański, likwiduje szereg interesów Anglii poza wyspą wielkobrytyjską. Dyktat amerykański ukryty pod nazwą planu Marshalla kładzie jednocześnie coraz głębszy cień na życie synów Albionu, którzy w podstawowej swej masie — proletariatu miast i wsi — przeżywają wznagający się wyzysk sił roboczych i, związane z tym wyzyskiem, stopniowe obniżanie się poziomu stopy życiowej.

Sytuację angielskiej klasy robotniczej pogarsza fakt, iż poza partią komunistyczną nie ma ona w istocie żadnej siły realnej, budującej szczerą i istotną obronę interesów robotniczych. Wprawdzie w łonie Labour Party istnieją również poważne ośrodki o orientacji wyraźnie komunistycznej i jednolitefrontowej, niemniej jednak kierownictwo partii pozostaje nadal w rękach tych, którzy patronują bez skrupułów panowaniu monopolistycznego kapitału. W ich rękach znajdują się rządy W. Brytanii, oni też w praktyce wykazują absolutną uległość imperializmowi anglo-amerykańskiemu, zapewniając głoszone przez premiera Attlee „dobre warunki życia“ wyłącznie klasom eksploatacyjnym.

Premier Attlee przy okazji proklamowania nowego rzekomo „socjalizmu demokratycznego“ oświadczył, iż w Anglii „istnieją dobre warunki życia dla każdego człowieka“.

W tym samym mniej więcej czasie Harry Pollitt na XX Zjeździe Komunistycznej Partii Anglii dokonał demaskującego „socjalizm demokratyczny“ obliczenia. Oto wyższość cen na artykuły pierwszej potrzeby wyniosła w sumie co najmniej 300 milionów funtów szterlingów. W tym samym czasie wysokość funduszu płac podniosła się zaledwie o 78 milionów funtów szterlingów. Zestawienie to wykazuje z jednej strony, iż wzrost drożyzny nie może być wynikiem podwyższenia płacy zarobkowej, jak to stara się zasugerować część prasy angielskiej, z drugiej zaś strony udowadnia, iż inflacja, jaką niewątpliwie Anglia przeżywa (bowiem siła nabywcza funta szterlinga w dniu 31. 12. 1947 r. stanowiła zaledwie 60% siły nabywczej z roku 1938) jest jedną z głównych przyczyn spadku siły nabywczej klasy robotniczej, jednocześnie jest źródłem niepomiernej wzbogacania kapitalistów.

Po zakończeniu drugiej wojny światowej ustały okoliczności wpływające na wzrost możliwości zarobkowych dla robotników. Poważna ich część przeszła z zatrudnienia w przemyśle produkującym bezpośrednio na potrzeby wojny, do zakładów pracy, gdzie poziom płacy był najniższy. Praca w godzinach nadliczbowych została zlikwidowana, a taryfy za pracę akordową obniżono. Stąd też średni zarobek tygodniowy Anglika pracującego zmniejszył się do 114 szylingów 4 pensów, a więc o 7 szylingów. Obniżka dla młodocianych wyniosła przeciętnie 9 szylingów. O ile w styczniu 1945 roku pracownicy państwowych zakładów przemysłowych zarabiali 128 szylingów, to w styczniu 1946 roku już tylko 109 szylingów. W przemyśle budowy maszyn wynagrodzenie obniżono ze 125 do 116 szylingów, a w zakładach zbrojeniowych — ze 131 do 126 szylingów. Plan Crippsa, forsujący eksport towarów angielskich, wprowadził w roku 1947 jeszcze niższe stawki płacy w tych gałęziach przemysłu, których produkcja nie była związana z eksportem.

Trzeba dodać, że robotnicy na kolejach mieli 92,5 szylingów minimalnej płacy tygodniowej, przemysłu budowy maszyn 86, a robotnicy naziemni w kopalniach węgla 100 szylingów. Kobiety nie otrzymują więcej od połowy średniego zarobku mężczyzn. W konsekwencji minimum realnego zarobku było w olbrzymiej większości przypadków znacznie niższe od ustalonego wyżej na 132—140 szylingów minimum tygodniowych kosztów utrzymania przeciętnej rodziny robotniczej. Spośród wyliczonych przez nas grup robotniczych żadna nie miała gwarancji utrzymania równowagi budżetu robotniczego w perspektywach zarobku za pracę.

Realną wartość płacy obniża dalej nieustanne opodatkowanie pracujących. Podatki bezpośrednie przed wojną stanowiły 3,1% ogólnego funduszu płac, a w roku 1946 już 9%. Oznacza to trzykrotnie wyższe obciążenie obowiązkami podatkowymi świata pracy. Jednocześnie w roku 1944 opodatkowanie dochodu klas posiadających wyniosło 23%. W trzy lata później stopę podatku z tego tytułu obniżono do 8,5%; oznacza to trzykrotne zmniejszenie opodatkowania kapitalistów. A więc uprzednio kapitalista od każdego zarobionych 100 funtów płacił 23 funty podatku, w następstwie — 8,5 funta; robotnik — najpierw 3,1 funta, a następnie niemal 9 funtów. Jest to więc „wyrównanie“ zgodne najprawdopodobniej tylko z zasadami „demokratycznego socjalizmu“.

A równocześnie o ile w latach 1939 i 1940 różnica w podrożeniu artykułów pierwszej potrzeby wyniosła tylko 2 punkty, to już w roku 1941 — 9 punktów, w roku następnym — 19, a w roku 1943 — 26 punktów.

Mniej więcej w połowie 1947 roku wskaźnik ruchu cen, opracowany w Ministerstwie Pracy, wykazywał wzrost 31 procentowy. W tym



Kryzys mieszkaniowy w Anglii. „Domy“ robotnicze na peryferiach Londynu.

samym czasie „Economist“ pisał o wzroście cen, sięgającym 65%.

W marcu 1948 r. oficjalnie ogłoszono sprawozdanie rządowe, odnoszące się do stopnia spożycia głównych artykułów. Ze sprawozdania tego wynika, że w porównaniu z okresem przedwojennym przeciętna konsumpcja obniżyła się w Anglii bardzo znacznie, głównie zaś spadło spożycie mięsa (39 proc.), cukru (30 proc.), tłuszczów roślinnych i zwierzęcych (29 procent) na głowę ludności wielkobrytyjskiej. Uwzględniając olbrzymie dysproporcje, charakterystyczne dla krajów kapitalistycznych, można sobie wyobrazić, jak bardzo nisko musi się kształtować rzeczywista dieta dzienna klasy robotniczej, zwłaszcza jej grup nisko płatnych i bezrobotnych, kiedy przeciętna kaloryczność diety dziennej jest niższa co najmniej o 22% od normy przedwojennej.

Szczupłe normy spożycia okresu wojennego po wojnie zostały jeszcze bardziej zmniejszone. W okresie wojny spożycie chleba nie było racjonowane, lecz po wojnie wprowadzone zostały kartki chlebowe i spożycie chleba przez długi okres czasu było racjonowane. Jesienią 1947 r. przeprowadzono nowe wydatne zmniejszenie norm wydawanych produktów żywnościowych. We wrześniu 1947 r. dodatkowo zmniejszono przydział mięsa do 350 g na tydzień. 15 października 1947 r. normę mleka obniżono o 25%. Wprowadzenie w listopadzie 1947 r. racjonowania ziemniaków (norma — 3 funty tygodniowo) wg obliczenia prasy doprowadziło do zmniejszenia konsumpcji ziemniaków do 75% w rodzinach nisko płatnych robotników i urzędników. W ślad za tym ogłoszono zmniejszenie norm masła i cukru, przy czym cena cukru podniosła się o 66%.

Podobnie wygląda sytuacja na odcinku konsumpcji artykułów przemysłowych. Wg oficjalnego obliczenia wydatki na odzież w roku 1947 skurczyły się o 16%, a na przedmioty domowego użytku od 19 do 23% w stosunku do roku 1938.

Do trudnych warunków aprowizacyjnych, których kresu mimo wielu prób nie widać przy stosowaniu starych metod, narzuconych przez stary system, dołączyć wypada pogłębiający się kryzys mieszkaniowy. Szeroko zakrojony plan budownictwa mieszkaniowego, zamieszczony w przedwyborczym programie Labour Party, nie został w drobnej nawet mierze wykonany, i w dalszym ciągu milionowe rzesze proletariatu angielskiego, głównie w wielkich ośrodkach przemysłowych — żyją w warunkach mieszkaniowych, urągających elementarnym postulatowi zdrowotności. Z oficjalnych źródeł podają zresztą, że 44% domów nie posiada w ogóle wody bieżącej. Mieszkania robotnicze mają inne, bardziej zasadnicze mankamenty, przy czym czynsz komorniany należy do jednego z najwyższych w Europie.

Na całość obrazującą sytuację klasy robotniczej, ma znakomity wreszcie wpływ zagadnienie płacy za pracę kobiet. Wbrew elementarnej tezie demokratycznej o równej płacy za tę samą pracę, wynagrodzenie angielskiej kobiety pracującej kształtuje się znacznie niżej od wynagrodzenia mężczyzny. Tania praca kobiet jest jednym z ważnych instrumentów wyzysku kapitalistów, którzy wykorzystują ciężką sytuację materialną klasy robotniczej dla sankcjonowania paradoksalnej różnicy w płacy mężczyzn i kobiet. Te ostatnie w szeregu

nu zatrudnienia. Oficjalnie podają, że w latach 1945 — 1947 liczba osób zatrudnionych ogółem zmniejszyła się o 1.363.000. Odzywają w Anglii tzw. „rejon depresji“, które rozrosły się silnie w okresie międzywojennym, zamieniając niektóre centra przemysłowe w martwe miasta o przeważającym odsetku bezrobotnych. Aczkolwiek mowa jest obecnie o „rejonach rozwoju“, to jednak praktycznie odrodzenie przemysłu angielskiego hamowane jest imperialistyczną polityką W. Brytanii w Europie i Azji. Jako jeden z przykładów podaje się, że utrzymanie angielskich wojsk okupacyjnych kosztowało Anglię w latach 1944 — 1946 około 113 milionów funtów szterlingów, a więc znacznie więcej, niż prelinowano na rozbudowę przemysłu w Południowej Walii. W wyniku w samym tylko styczniu 1948 r. anulowano kilkanaście uprawnień na budowę nowych przedsiębiorstw w tym okręgu, a 100 tysięcy bezrobotnych ruszyło w poszukiwaniu pracy do innych rejonów.

Opracowane zgodnie z planem Marshalla projekty rządowe idą w kierunku dalszego obniżenia wydatków na budownictwo przemysłowe i mieszkaniowe oraz na skurczenie angielskiego budownictwa okrętowego i innych niektórych gałęzi przemysłu. Oznacza to, że nowym grupom świata pracy grozi bezrobocie, tymbardziej że stan wyposażenia technicznego przemysłu nie jest zadowalający i wymaga modernizacji. Warto przypomnieć, iż zdaniem „Daily Worker“ (lipiec 1948 r.) — 40% budżetu brytyjskiego przeznaczony jest na wydatki wojskowe.

Jasną jest rzeczą, że chodzi tu o to, aby, jak twierdzą kapitaliści — wiadomy procent bezrobotnych był „życiowo niezbędny dla manewrowej sprężystości produkcji“. Ta manewrowa sprężystość produkcji to nic innego jak żerowanie na wyzysku robotnika, to pretekst do obniżania płac, to metoda zdobywania taniej i uległej siły roboczej.

W latach 1945 — 1947 ogólny fundusz płac wzrósł o 16%, czysty dochód kapitalistów o 39 proc., w roku 1947 fundusz płac zwiększył się o 5%, dochód kapitalistów — o 24 proc. W roku 1947 dochody angielskich towarzystw akcyjnych przekroczyły o 30% maksymalny poziom dochodów z okresu wojny.

Wg danych oficjalnych w okresie np. maja i czerwca 1948 roku wskaźnik cen na artykuły żywnościowe wzrósł o 12 proc., komorne co najmniej o 10 proc. Jednocześnie „Economist“ podaje, że zyski kapitalistów w pierwszej połowie 1948 roku wzrosły w porównaniu z rękami 1945 o 150 procent.

Toteż walka klasy robotniczej rozwija się. Idzie coraz szersza akcja strajkowa. W ciągu sześciu miesięcy 1948 roku w Anglii miało miejsce 1 000 strajków. W strajkach tych brało udział 800.000 robotników, a ilość straconych dni roboczych oblicza się na 1.500.000. W strajkach, w popieraniu obozu postępu, walczącego o pokój i sprawiedliwość, rysuje się coraz mocniejsze nasilenie w Anglii walki klasowej z kapitalizmem i zakłamaniem Labour Party.



Sierota z londyńskiego przedmieścia robotniczego.

Jan Baculewski

INTELEGENCJA TECHNICZNA



Uczniowie

I

Kult nauki i doświadczenia, uprawiany przez pozytywistów, mimo całej swojej empirycznej i materialistycznej mocy był wyrazem postawy idealistycznej. Wyznaczała ona wiedzę i technice samoistną rolę twórczą w przekształcaniu stosunków społecznych, licząc, iż rozwój wiedzy sam przez się przyniesie konieczne zmiany we współzyciu ludzi i zapobiegnie powszechnej anarchii społecznej. Stawiali pozytywści głównie na produkcję materialną i spodziewali się od techniki rozpowszechnienia wytworów fabrycznych. Były to nadzieje uzasadnione. Zarówno bowiem nauka jak i technika rozwijały się i przekraczały stadia odkryć i zastosowań skokami rewolucyjnymi. Gdy jednak kapitalizm minął siódmy i ósmy dziesiątek lat dziewiętnastego stulecia, okazało się, że postęp wiedzy i wynalazki techniczne nie wywierają kojącego wpływu na wrzenia społeczne. Trzeba było uwierzyć w autonomię nauki i strzec ją przed wyłącznie utylitarną uprawą. Związek teorii z praktyką nie udał się i wielkie hasło filozofii pozytywnej „savoir pour prévoir” zostało złożone do grobu nazajutrz po śmierci swego mistrza. Charakterystyczne, iż poczynając od Augusta Comte'a, który w pewnej liczbie pojęć ogólnych widział drogę ładu powszechnego, poprzez Johna Stuarta Millę, upatrującego w ideach siły napędowe historii i Herberta Spencera, według którego uczucia rządzą światem, wywołując groźne dla powszechnego porządku antagonizmy moralne, a kończąc na naszym „Poście Prawdy” Aleksandra Świętochowskim, który ostoi bytu narodowego szukał w rozwoju myśli — racjonalistycznej, empirycznej, materialistycznej pozytywści zamknięci byli w kręgu filozofii idealistycznej, oświadczenia ich miały charakter pragmatyczny, a zastosowania społeczne ograniczone do praktyki mieszczańskiej i potrzeb gospodarki i techniki kapitalistycznej*).

Stąd pochodzą bezdroża, na które zesłała inteligencja szlachecko-mieszczańska pozytywizmu. W początkowym okresie rozwoju kapitalistycznego stanowiła ona rewolucyjne ognisko myśli antyfeudalnej i antyklerykalnej. Brała zdecydowanie w obronę uwłaszczonego chłopca i wykazywała sympatie dla stanu czwartego. Ale w chaos, który powodował rozwój kapitalizmu, nie potrafiła wnieść ani krytyki z pozycji drobnomieszczańskiej filozofii społecznej a la Proudhon, ani analizy utopistycznej w duchu Saint-Simona.

Stąd, gdy w latach 80 opadły wszelkie złudzenia co do narodowego i społecznego charakteru kapitalizmu, inteligencja popadła w popłoch i wobec rozwoju przemysłu i techniki zajęła postawę niemal identyczną z postawą robotników z pierwszych lat XIX w., kiedy ci, jak w Anglii, w maszynach przedziałniczych widzieli swego wroga, sprawcę nędzy i demolowali je. W sześćdziesiąt lat później podobnie zachowała się pozytywistyczna inteligencja, żądając w artykułach „Głosu” wstrzymania rozwoju przemysłu, techniki i miast. My, Słowianie lubim sielanki...

II

Stoimy dziś przed dwoma zagadnieniami: **dziedzictwa inteligentnej tradycji i odziedziczenia zadań inteligencji przez nowy jej podmiot społeczny, przez nowe klasy.**

W sprawie pierwszej pisał Jerzy Borejsza w noworocznym numerze „Odrodzenia”:

„Usiłowano mechanicznie powiązać, przymocować nas do pozytywizmu i tworzyć teorie antyromantyczne, a tym samym anty-

rewolucyjne jakiejś rzekomo pracy u podstaw, wypranej z walki klasowej. Jeżeli przejmujemy elementy pozytywizmu, jego kult nauki i walkę o postęp... to jednak odrzucamy jego oportunistyczną, mieszczańską i filisterską treść ideologiczną”.

Oczywiście, inteligencja pozytywistyczna stała na oboku ruchu robotniczego, w ruchach ludowych zaś odgrywała w większości fałszywą rolę kapłana ludodomaństwa. Nie miała zrozumienia dla żadnego z obu nurtów dążenia do wyzwolenia mas ludowych. Ale też była wówczas w życiu zbiorowym polskiego społeczeństwa rezultatem rozpadu warstwy szlacheckiej, <

Do czego zmierzali pozytywści? Ich podstawowe hasła społeczne zapowiadały przewrót. Zdawało się im, że rozpędzają koło historii. Chcieli w kilku skokach dopędzić Europę Zachodnią, nadrobić zapóźnienie cywilizacyjne Polski, postawić ją w rzędzie postępowych krajów Europy. Czym był dla nich postęp? Zapóźnionym echem liberalno-kapitalistycznego rozwoju. Pragnęli budować cywilizację w Polsce, zakładać przemysł, tworzyć własną narodową burżuazję. Z tych dążeń wyrósł bohaterowie pozytywistycznej publicystyki i powieści, rycerze przemysłu, inżynierowie, technicy i rzemieślnicy. Plenił się ich w literaturze warunkowały idee pozytywistyczne, urabiani byli przez postępowców i młodą prasę. Ale kto powoływał do rozlicznych funkcji techniczno-gospodarczych tej grupy inteligencji, która wówczas jak dziś, musiała podjąć się pracy produkcyjno-przemysłowej?

Pozornie odpowiedź jest łatwa. Rozwój kapitalizmu powodował rozwój sił wytwórczych. Inteligencja techniczna stawała na apel polskiego kapitalizmu. Heroldami jego byli pozytywści. Jakich zatem posiadali mocodawców? Jan Kott w artykułach o „Lalce” wskazał ich. Byli to z jednej strony agrariusze w książęcych mitrach, obok nich zaś „kucpy galanteryjni”. Szanowna własność ziemiska nie zdolna jednak była zaspokoić rozwoju kapitalistycznego z powodu powiększenia osłabienia ekonomicznego. A sklepik drobnomieszczański, który oddał całą duszę kapitalizmowi, nie zaspokajał już wówczas dostatecznie jego potrzeb i dynamiki.

To nie byli właściwi promotorzy rozwoju kapitalistycznego w Polsce. Siły napędowe kapitalizmu wystąpiły poza krajem. I one zdecydowały o jego skokach i charakterze. Był on natury eksterytorialnej i półkolonialnej.

Stanisław Szczepanowski w „Nędzy Galicji w cyfrach” ukazuje eksploatatorski charakter przemysłu galicyjskiego. Kapitalizm zagraniczny wydiera Polsce naftę, drzewo, sól, węgiel i inne surowce, a dzieje się to jednocześnie z walką o zdobycie terenów eksploatacji i rynków zbytu na Dalekim Wschodzie. Tam szło o wielkie imperialne kolonie, tu po drodze, niemal pod ręką, w Polsce, jak i gdzie indziej, tworzyło się drobne półkolonie, które służyły tym samym celom koncentracji kapitału, dlatego nie może on już w owym czasie zaspokajać wewnętrznych potrzeb narodowych tych krajów. Budowa polskiej cywilizacji wcale już nie znajduje się wtedy na drodze rozwoju kapitalizmu.

Pozytywści polscy nie zdawali sobie sprawy z tego, kto decydował o losach rozwoju polskiego kapitalizmu. Przepuszczali, że właśnie oni wraz ze swoimi plenipotentami i pozytywistyczną inteligencją. Nie stworzyli kapitalizmu, bo nie leżało to w ich mocy, stworzyli to, do czego jedynie byli zdolni: ideologię postępu burżuazyjnego i pozytywistyczną kulturę. Kultura ta była humanistyczna w tym znaczeniu, iż twórcami jej byli humaniści, pisarze, publicyści. Nie byli to bowiem nawet politycy, nie mieli żadnego

związku z bazą produkcyjną, oddzieleni od istotnych sił wytwórczych. Jeżeli jednak działalność ich miała pewne oparcie, wynikało to stąd, że związani byli z klasami posiadającymi. Formułowali prawa rozwoju kultury w ramach możliwości rozwojowych ziemiaństwa i drobnomieszczaństwa. Gdy jednak działalność ich przeszła obok kapitalizmu, nie rodziła się bowiem z jego uformowanej bazy, gdy coraz dalsza stawała się jego celom, musiał powstający konflikt między kulturą a kapitalizmem przesądzić los ich dalszej działalności. Zwycięża kapitalizm, powodując rozbięcie inteligencji pozytywistycznej i całkowity jej rozkład. Niezwiązana z decydującymi siłami produkcyjnymi, pozbawiona wpływu na rozwój społeczny, odcięta więc od najistotniejszych czynników tworzenia kultury, chroni się od tej klęski ucieczką do chłompomańskich i regionalistycznych koncepcji i popada w niepokój o dalsze losy kapitalistycznej cywilizacji.

Pozytywści przegrali swoją szansę historyczną i swój program. Nie mieli za sobą ani klas posiadających, ani klas nowych, walczących o posiadanie baz produkcyjnych. Służyli małym posiadaczom. Interesy mas ludowych nie objęte były ich programem. Nie dysponowali siłami napędowymi ani od strony posiadających bazy produkcyjne, ani od strony sił produkcyjnych. A postęp i kulturę tworzą siły posiadające i siły produkujące i one są źródłem twórczych koncepcji rozwojowych, one decydują o losie człowieka i jego społecznych funkcjach.

III

O nowej inteligencji mówił min. Minc na Kongresie Zjednoczenia: „Każda klasa produkcyjna miała swoją własną inteligencję, toteż polska klasa robotnicza i polskie masy ludowe stworzą swoją własną inteligencję”.

„W ciągu czterech lat po wyzwoleniu wyrosła u nas znaczna warstwa klasy robotniczej, która ma wszystkie dane na przekształcenie się w inteligencję ludową. Są to robotnicy, wysunięci na stanowiska dyrektorów, wicedyrektorów, kierowników działów. Są to najbardziej doświadczeni, uświadomieni przodownicy pracy. Są to liczni wysoce wyspecjalizowani i kulturalni robotnicy.

Brak im wykształcenia ogólnego i specjalnej wiedzy technicznej. Trzeba, żeby państwo ludowe w przyspieszonej, skróconej formie dało im to wykształcenie i wiedzę.

Trzeba znaczną część takich ludzi posłać na specjalną naukę, a na ich miejsce wysunąć nowych.

W ten sposób przyspieszone zostanie formowanie **nowej, ludowej inteligencji**, która wspólnie z tą częścią starej inteligencji, która chce i umie kroczyć nogą w nogę z życiem — stanie do wielkich zadań budownictwa socjalizmu w Polsce”. (Min. Minc w referacie na Kongresie Zjednoczenia).

Ludowe pochodzenie nowej inteligencji i jej rola, będąca rezultatem jej awansu społecznego, tkwi w samym centrum walki o przebudowę Polski Ludowej i budowy podstaw socjalizmu w Polsce.

Ale kiedy mówi się dziś o wielkich zadaniach polskiej inteligencji, wysuwa się na jej czoło tę grupę, która związana jest z rozbudową gospodarki narodowej.

Jasne jest bowiem i oczywiste, że inteligencja techniczna rozwija działalność gospodarczą, to znaczy — buduje **materiałne podstawy kultury polskiej**.

W tym punkcie istnieje między nami a pozytywizmem analogia. Oczywiście, idzie nam o **pracę od podstaw**. Ale podmiotem tej pracy są masy ludowe, w których reku spoczywa władza, z jej łona nie zrywając z nią związku wyrasta jej inteligencja. I cel jest zgoła inny — socjalizm, nie jak w pozytywizmie — kapitalizm z poprawkami.

Bo choć dziś podobnie jak w okresie pozytywizmu głosimy hasła rozwoju, nauki, techniki i produkcji, głosimy je z tą jednak różnicą, iż **realizujemy jednocześnie treść hasła**. Dzieje się tak dlatego, że dyspozycje rozwojowe spoczywają w naszym ręku.

Baza surowców i narzędzi produkcji znajduje się w tych samych rękach, jakie reprezentują siłę produkcyjną — w rękach klasy robotniczej i chłopstwa. Nacjonalizacja przemysłu i banków wyzwoliła nas od obcego i prywatnego kapitału. To, co w „półkolonialnej” przeszłości kraju nagromadził inwazyjny kapitał i rodzimy, stało się dziś podstawą organizacji produkcji **narodowej**. Dopiero teraz zwać ją możemy narodową, bo tylko ze znaku równości między siłami posiadającymi i produkującymi wynika plan produkcji, jako plan mas narodu dla narodu, plan, wykluczający uzależnienie toku produkcji od spontanicznej nierówności i automatyzmu rozwojowego kapitalizmu. Dopiero teraz zwać ją możemy narodową, bo w treści jest socjalistyczna — znajduje się we władzy mas ludowych (posiadaniu) — powtarzam — i przez nie jest wytwarzana! „Humanisci” pozytywistyczni łudzili się, że to oni powołują do życia rozwój przemysłu, rozwój kapitalizmu. Godny podziwu jest oczywiście fakt uznania przez organiczników nowego typu inteligencji, właśnie **technicznej**. Godne podziwu zabiegi popularyzowania jej przez humanistów, ugruntowania kul-

tu, który stał się podstawą ambicjonującego wzoru awansu społecznego. To wszystko możemy przyznać pozytywistom. Tu tkwią tradycje myśli inteligentnej, skupionej nad problematyką gospodarczą, jako od podstaw wydzwigająca i określająca kulturę. Ale na tym koniec. To nie humaniści pozytywistyczni wyczarowali przemysł i kapitalizm. Oni dawali odbicie tego procesu, który rozwijał się w oparciu o siły posiadające, a które działały przeciw siłom produkującym. Rozstrzygające centrum sił posiadających dla rozwoju i położenia kapitalizmu w kraju — okazało się, że działa z zewnątrz. Pozytywści zawisli w próżni. „Odbijanie” sił posiadających ziemiaństwa i drobnomieszczaństwa w dziele przemysłu stawało się fałszem wobec rzeczywistości, traciło na znaczeniu. Humanistów pozytywistycznych zgnił nacisk rozwoju gospodarczego, zależnego od dyspozycji kapitału inwazyjnego. Wykończył brak związku z proletariatem (siłą produkującą).

W następnej, popozytywistycznej fali, kiedy inteligencja uciekała do regionalizmu, kiedy czyni z cywilizacji technicznej molocho, kiedy poddaje się plemiennej mitowi nacjonalizmu i wówczas tworzy „odbicia” wpływu głównego toku procesów produkcyjnych i dysponujących nimi sił społecznych, ale tworzy te odbicia z pozycji warstwy zepchniętej, znajdującej się w konflikcie z nową rzeczywistością, a nie umiejscawiając go sobie poprawnie wyjaśnić. Oczywiście, że uratować jej funkcję „inteligencji” mógł tylko związek z siłą produkującą, której konflikt z siłami posiadającymi zaostriżył się do perspektyw rewolucyjnych.

Krótko mówiąc, nigdy rola twórcza inteligencji nie wyrasta z niej samej. I dziś, kiedy chcemy określić rolę społeczną inteligencji, musimy w pierwszym rzędzie dokonać podstawowego rozróżnienia między inteligencją **produkcyjną** a inteligencją **humanistyczną** (artystyczną, naukową, oświatową, urzędniczą, wolnych zawodów itp.). Inteligencja techniczna wytwarza wraz z masami pracującymi towary materialne, a przez nie **dochód narodowy**, inteligencja humanistyczna działa na bazie konsumentów tego dochodu narodowego.

Stąd wynika nowa pozycja inteligencji technicznej. Nie jest ona, jak w okresie pozytywizmu, na usługach kapitalistycznych dysponentów rozwoju gospodarczego. Sama jest częścią składową dysponujących dziś sił. Sama jest jak najściślej związana z pracą produkcyjną. „Dlatego, żeby praca była produkcyjna — mówi Marks — nie ma konieczności przykładać swoich rąk do pracy. Wystarczy być organem kolektywnego robotnika i wypełniać jedną z jego funkcji”.

Ta nowa, powstająca inteligencja techniczna, jako cząstka składowa sił produkcyjnych i sił władających będzie miała tym silniejszą moc kształtować oblicze całej polskiej inteligencji. Tworząc dochód narodowy współczesności w jego rozdziale. Tworzy go wiedząc o nowym, socjalistycznym charakterze jego rozdziału. Można by powiedzieć, że **tworzy go ze względu na jego własnie nowy rozdział**, Przenika w ten sposób od korzeni dóbr materialnych poprzez celowe ich krążenie do najdrobniejszych włókien życia jednostkowego i społecznego narodu. Inteligencja humanistyczna będzie stała przed zadaniem „odbicia” i wzmożenia tego nadania od produkcyjnego poczynając a na społeczno-kulturalnym kończąc. W nadaniu tym bowiem wyraża się **nowy sens społeczno-kulturalny** rozwoju produkcji i rozdziału z jej wytworów dochodu narodowego.

Reorganizacja Ministerstwa Przemysłu i Handlu na 6 nowych ministerstw jest oznaką, że weszliśmy na wielką falę socjalistycznego rozwoju przemysłu. Ze skromnych początków wyłaniają się ogromne procesy życia gospodarczego. Z dreptania na miejscu i wstrząsów kryzysowych wyzwoliliśmy się. Jesteśmy u końca planu 3-letniego i przed planem 6-letnim, który zmieni całokształt życia narodowego.

Dla realizacji tych zadań powstały właśnie nowe resorty gospodarcze. W ramach ich potrzeb tworzy się **Centralny Urząd Szkolenia Zawodowego**. Będzie rosła i potężniała inteligencja techniczna. Będzie się przemieniała inteligencja polska. Jest to sygnał dla inteligencji humanistycznej.

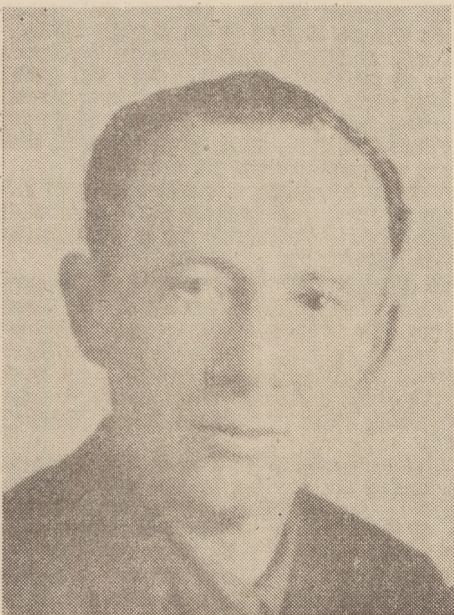
W następnym numerze „Wsi” między innymi:

JAN ZYGMUNT JAKUBOWSKI
NOWA HISTORIA LITERATURY
JOACHIMA LELEWELA
LISTY NIEZNANE
KONSTANTY GRZYBOWSKI
POLITYKA WOBEC NIEMIEC
PETR JILEMNICKY
FRAGMENT POWIEŚCI „WIATR POWRACA”
WŁADYSŁAW BŁACHUT
NIEZALEŻNA PARTIA CHŁOPIŃSKA

* Patrz: J. Baculewski „Sentymalna edukacja... pozytywizmu” „Wies” Nr 9.

Piotr Chmura

ETNOGRAFIZM W PAMIĘTNIKU



Wojciech Breowicz

Drukujemy poniżej pierwszy rozdział pamiętnika, który nadesłał do kraju Wojciech Breowicz z Brazylii, gdzie przebywa już 19 lat.

Przypominałem pół roku temu czytelnikom „Wsi” tego „ludowego”, jak sam się nazywa, pisarza. Syn (pośród siedmiorga rodzeństwa) małorolnego, zostaje nauczycielem wiejskim, w 1933 r. współzakłada „Wieś i jej pieśń”, szczuty przez policję, zrozpaczony wyjeżdża za ocean, śladem niegdyś wędrowek ojca i wuja. W Brazylii... również uczy dzieci chłopskich emigrantów w puszczach Parany. Nadanie w pisarstwo a szerzej nawet w kulturę odebrał z kręgów galicyjskiego TSL, Macierzy, patronacka oświatowego Narodowej Demokracji*). Równolegle rozwijała się w nim wrażliwość na krzywdę społeczną, rósł radykalizm. Jako pisarz był jednak i pozostał spętany tamtym wychowaniem literackim, tamtym rozumieniem historii i kultury. Wyjazd do Brazylii cofnął go w stosunki społeczne o dysproporcjach, jakich nie oglądał nawet w kraju. Na jedynym biegnie (na wybrzeżu) — najwyższe formy kapitalizmu, na drugim („Interior” puszcz brazylijskich) — niemal średnio-wieczce.

*) Patrz: P. Chmura: „Wojciech Breowicz”, „Wieś” — 25/48 r.

Wojciech Breowicz

Pamiętnik ma ambicje pisarskie. Rozdział pierwszy przedstawia okres dzieciństwa w rodzinnej wsi galicyjskiej, Osobnicy. Wspomina je emigrant. Przeszedł w życiu tyle zawodów i rozczarowań, że jak można się domyślać, jedyny okres, jaki zdecydowałby się opróżnić, to — dzieciństwo. Wydaje mi się, że i w tym popełnił błąd, uległ złudzeniu. „Raj utracony” dzieciństwa nie był rajem. Prawda leżąca u podstaw losu Breowicza, to prawda jego dzieciństwa. Autor cofnął się przed wypowiedzeniem prawdy, przed odkryciem jej. Zawrócił w „zacznie”, przez co wcale nie wspomógł się w walce, którą przez wiele lat, a pewnie i dzisiaj jeszcze, prowadzi nadal po omacku. Nie przejaśnił sam sobie sensu walki społecznej i zaciemnia ją czytelnikom.

Niedawno drukowaliśmy pamiętnik dzieciństwa St. Orła. Podkreślaliśmy jego wartości artystyczne. Osiągnięte one zostały dzięki temu, że narrator (oczami dziecka) ogląda i uczestniczy w klasowych stosunkach na wsi.

Breowicz „ładność” pisarską zamierzył inaczej — przez wydobywanie „ładności” wsi, widzianej w systemie ETNOGRAFIZM. Umieścił pierwszy rozdział pamiętnika na linii monografii wsi, jakie znamy od Bujaka do p. Zawistowicz. W ten sposób również jego dzieciństwo przestało być „prywatne”. Monografia wsi zyskała znamiona ilustracji epoki. Ale jest to złudna ilustracja. Etnograficzny chwyt zgubił czas, zgubił prawdę historyczną o wsi Osobnicy, o wsiach z pierwszych dekad XX w.

Od Kolberga poczynając, etnografowie podejmuje w towarzystwach „Wisy” i „Ludu” zbieranie zapisów pieśni, legend i bajek, gromadzą eksponaty innych rodzajów sztuki ludowej, odrzysowują plany budownictwa, inwentaryzują stroje i przekazy obyczajów rodzimych. Wskazują w ten sposób, co w życiu wsi, choć zanika, było i jest jeszcze „ładne”, „interesujące”, „zadziwiające”. Breowicz w te właśnie elementy wyposaża dom rodzinny i wieś dzieciństwa. Ładne, dostojne, albo „dziwne” objawy życia wsi mają posłużyć jako chwyt dla uartyściści pamiętnika.

Czytelnik dowiadyuje się, że Osobnica to

stara wieś (założona w 1348 r.). Przeglądając karty kilku wieków (ten ustęp opuściliśmy) widać, owiany historią, nastroić się podniosło. Został z dawnych czasów kościółek, gdzie chrzest odbierał autor pamiętnika. Wieś „od pamiętnika” — jak twierdzi Breowicz — jest autochtoniczna, nie przyjmowała bowiem nikogo z zewnątrz. Minione wieki żyją zatem w niej współcześnie. A ludzie, współcześni okresowi jego dzieciństwa, żyli tradycjami „potopu” w okolicy, strasznych epidemii, wierzeń o planetnikach itp. Wszyscy byli z sobą spokrewnieni. Wieś żyła w fanatycznej religijności, w kręgu wspaniałych uroczystości rodzinnych, na codzień w zbożnej zgodności w domu, matka przy kądzieli, ojciec „na przepiecku”, z fajką i gawędą na ustach. Obrazu tego dopełnia opis domostwa w stylu „Pana Tadeusza”, przełożonego na chłopski porządek: Dom kryty słomą, ławy, piec, obrazy świętych. Żarna w sieni. W komorze sąsiadki na zboże, skrzynia „stolarska”. Na boisku w stodole igrzmot cepów, czyszczenie ziarna „siedlaczka”, przetakami i rzeszotem.

Taki jest główny tok wspomnień dzieciństwa. On miał nadać powab pamiętnikowi, uczynić go dziełem pisarza. Ale za tę cenę wypłoszona została rzeczywistość, prawda o dziejach rodziny Breowicza, o społecznym dramacie wsi. Z resztek tej prawdy, jaka z poza głównego nurtu pamiętnika nieśmiało się wychyla, można co najwyżej ufornować kilka zasadniczych pytań, jeśli już nie zrekonstruować ówczesnej rzeczywistości społecznej. Dziadek z linii matki miał 16 móg. A ile wniosła matka Breowicza? — Mógę. Dziadek z linii ojca również miał znaczne gospodarstwo. A już jego syn jeden i drugi jechał do Ameryki. Ojciec Breowicza nie odziedziczył ani skrawka ziemi. Z dorobku wykupił z morgi ojcowizny od rodziny. Po latach tułaczki w Ameryce wziął w dzierżawę z morgi (od żony takiego, co z Ameryki nie wracał od lat). Breowicz był najstarszym z siedmiorga rodzeństwa. Jak los szykował się takim dzieciom na 2,5 ha? (5 móg). A przecież pisze o tamtych latach, że „wesela sprawiano huczne, tłuste i pijane... chrzciny również”, że w wigilię Bożego Narodzenia pukano w drzwi, odprowadzano uroczystie obrzędzie w dawna przetrzymywane. Któż to więc wesele tłuste i huczne sprawiał, kto pilnował rytuału obrzędu wigilijnego? Wydaje się,

jakby CAŁA WIEŚ. A tymczasem w Nowy Rok ubożsi chłopcy chodzili po gospodarzach, składali wierszowane życzenia aby... otrzymać „draba” tj. niewielki bochenek chleba i kawał kielbasy. „Nazywano ich — dodaje Breowicz — drabami i straszono nimi dzieci”. Ci chyba hucznych weseł i obrzędów gospodarskich nie przestrzegali! A do jakiejże kategorii zaliczał się wówczas mały Breowicz? W komorze stały sąsiadki („tak często puste”), masła nigdy nie jadał. Więc jak? Chodził z kołędnikami, czy nie? Jeśli nie chodził to znaczy, że rodzina „ociupinę” była wyżej, nie honor było jej wysłać dziecka. A zatem, jakże wyglądała wieś społecznie, klasowo? W jakiejże pozycji była rodzina Breowiczów? Jakim ustrój, jakie kondygnacje społeczne oglądał mały Wojciech? Jakie sobie POWINIEN BYĆ PRZYPOMNIEĆ DZISIAJ WOJCIECH, który sam ma już dorosłego syna?

Dziadek krył u siebie kiedyś ks. Stojalowskiego, w rodzinie były kalendarze, „Wieniec”, „Cepy”. Ojciec, analfabeta, ze świata przynosił nowe wieści, w rodzinie żyła tradycja zamyślenia o zmianie losu chłopskiego. O tym wszystkim ledwie nappomyka Breowicz. Ten nurt relacji został i musiał zostać stłamszony przez ETNOGRAFIZM, który wywodzi się z ludomaństwa i obrósł nim w swych dziejach. Z ludomaństwa „romantycznego” Breowicz wprowadził swoją sylwetkę chłopca, który żyje oczarowany (jak poeta — Piętał) krajobrazem, podgląda z okienka burzliwe, piorunowe noce — potęgę natury. A kiedy ojciec na pierwszej światowej wojnie, „bawi się w gospodarza”, zbiera biblioteczkę (500 tomów) i czeka na dalszą pomoc nauczyciela, dzięki której „wyszedł” już z Osobnicy zastęp ludzi ZE ŚREDNIM I UNIWERSYTECKIM WYKSZTAŁCENIEM”.

Wyszedł, wyszedł, wyszedł... Tę drogę odbył i Breowicz. WYSZEDŁ! Wracał później już tylko po jednej drodze: mgliste ludowości, po drodze etnograficznych uroków „jednolitej wsi”. I taką ją dziś z oceanu przypomina. W dobrej wierze a w złych skutkach dla siebie, wciąż „niewidomego” i dla czytelnika, którego zawraca do mitologii reymontowskiej, któremu utrudnia wydobywanie się z tego wielkiego, pół wieku rozwijanego zafalszowania kulturowego, a co za tym idzie — politycznego wsi polskiej.

P A M I Ę T N I K

Rodzinna wieś Osobnica jest wielką gminą i parafią, leżącą na podgórze karpaccim w powiecie jasielskim, w odległości od 7-miu (na północy) do 15-tu km (na południu) na południowy zachód od Jasła, przecięta północno południową — wstęgą niewielkiej rzeki Bednarki, która uchodzi do dużej rzeki Ropy. Na wschód i zachód od koryta rzeki przechodzą tereny w rozległy, lekko falisty płaskowyż. Wieś zabudowana jest nad rzeką — tyły zajmują uprawne pola i lasy. Centralne, po prawym brzegu rzeki wznoszące się wzgórze, zajmuje kościół i szkoła. Połowa wsi, od kościoła na południe nazywa się „Góra”, na północ zaś — „Dół”.

Osobnica była z dawien dawna królewską wsią i pierwotnie zwała się Osownica. Została założona na prawie magdeburskim przez Kazimierza Wielkiego, który aktem z dnia 30.9.1348 r. osadza tu Jana Tyznara na 110 łanach niemieckich — i nadaje mu sołtysostwo wsi.

W Osobnicy istniał bardzo stary, drewniany kościółek, w którym ja jeszcze brałem chrzest. Powiadano o nim, że liczył przeszło 500 lat. Kronika diecezjalna przemyska wspomina, że ten kościół drewniany (modrzewiowy), nie wiadomo kiedy wybudowany, został poświęcony pod wezwaniem św. Stanisława w 1512 r.

Osobnica, na równi z bliską i daleką okolicą nawiedzana była w ciągu wieków przez liczne „zarazy”, przez jakieś groźne i śmiertelne epidemie, których pamięć przetrwała do dnia dzisiejszego w umysłowości mieszkańców. Szczególnie obfite żniwo zebrały epidemie w 1538 i 1875 r. Była to straszliwa cholera, po której przechowały się dotąd trzy cmentarze — zwane „cholernymi”. Starzy wspominali również o czarnej ospie i „trzęsiance”, czyli złośliwej zimnicy.

Krażliwa po wsi stara opowieść o straszliwej powodzi, która miała miejsce gdzieś w czasach pra-pradziadów. Z całej wsi miało

się zachować zaledwie kilka domów, stojących na najwyższych wzgórzach. Jest żywą również tradycja o latach potwornego głodu, o żywieniu się trawą, korzonkami i perzem — „bo ledwie na Gody i Wielkanoc dało się przechować garść drobnych ziemiaków”.

Niektórzy Osobniczanie, zabrani przez okolicznych chłopów, brali udział w rebelii 1846 r.

Osobnica liczy około 3500 mieszkańców — na 2470 ha, w tym około 150 ha lasu. Ludność Osobnicy „od pamiętnika” nie przyjmowała elementu napływowego, jest więc poniekąd grupą typowo autochtoniczną, od rdzenia „osobnicką”, posiadającą nawet własną — odmienną od okolicznej — gwara twardej mazurszczyzny, przy tym składa się z kilkudziesięciu wielkich i starych rodzin.

Poszczególne rodziny powiązane są z sobą bliższymi czy dalszymi stopniami pokrewieństwa i powinowactwa — dlatego też wszyscy we wsi za moich czasów mówili sobie: „braturo”, „szwagrze”, „swaku”, „ujku”, „stryku”, „krzesnoojcze” — i zawsze przez „wy”. Młodzie witali starszych pocałowaniem ręki, odkrywając przy tym głowę i mówiąc: „niech będzie pochwalony...”.

Religijność ludności: za mego dzieciństwa graniczyła z fanatyzmem. W niedziele i święta wszyscy mający jakiegokolwiek obuwie, szli do kościoła. W domu zostawały dzieci, zniechęceni starcy i chorzy. Korzyści z tego liczni złodzieje, włóczędzy oraz Cyganie, odwiadyjąc i okradając chaty w tym czasie. W awdencie zwykle szedł ktoś z domu do kościoła na „roraty” odbywające się o świcie. W domu oberano kartofle i śpiewano „godzinki”. Przędowała w tym matka krzątająca się po kuchni, która była jedyną dla nas izbą mieszkalną. Ojciec przed len, siedząc na długiej „ławie” pod ścianą, albo meł na żarnach, stojących w sieni. Ogień trząsał wesoło pod kuchnią, a na kominku dymił kopcusek naftowy. My, starsi, wstawaliśmy równocześnie z rodzicami, pomaga-

jąc im w domu, robiąc „obrzadek” w oborze, lub idąc z bydłem w pole.

Krzesiwo za moich czasów ustępowało już „siarnikom”, które łatwo zapalały się przez potarcie o spodnie. Tytoń zwilżano śliną, zapychano do glinianej fajki i zapiekano w ogniu, aby był silniejszy...

Takie „posiedzenia fajkowe” odbywały się u nas często, szczególnie w długie zimowe wieczory. Z otwartą gębą słuchałem, siedząc na „przypiecku”, nieskończonych opowieści o dawnej doli i niedoli chłopów, o latach głodu, nędzy i męki pańszczyźnianej, o dawnych wojnach, o wojnie koszućkiej, kiedy Moskale szli tędy na Węgry, o dawnych zbójcach, złodziejach, koniokradach, o strachach, duchach, wielkich oberaniach chmur, kiedy to „planetniki” wodzą straszliwe chmury zyska z piorunami, najwyraźniej wołali pod niebem: „trzymaj! trzymaj!” — oraz tysiące innych ciekawostek, które mi już wywie-trzały...

Wesela sprawiano huczne, tłuste i pijane. Zabawy weselne odbywały się w karczmach i przeciągały się do tygodnia. Łała się strumieniami gorzałka, bogaci się karczmarz, przy cichej aprobacie ze strony kościoła. Powoli z karczem przeszły wesela do domu młodej, względnie młodego.

Chrzciny również sprawiano huczne i wesołe. Wódka była tania — a jakże...

Słyszałem miejscowe opowiadanie, jak to w ziemie wieszono saniami dziecko do kościoła i zgubiono je po drodze... „Krajbabka” pijana, pyta pijanych kumów, a kumotrowie pytają zaś „krajbabki”: „gdzie dziecko?” — podczas gdy niewinna biedaczyna skostniała już w zaspie śniegu...

W wigilię Bożego Narodzenia, przed rozpoczęciem wieczery, pukał ojciec trzykrotnie łyżką w szybę okna, mówiąc: — „chodź, wilku, chodź, a gdy nie przyjdiesz dziś, to nie przychodz cały rok!” Musiał to być zwyczaj z dawnych „wilczych czasów” — bo też krążyło tu wiele okropnych gadek o wilkach.

W dzień Nowego Roku chodzili po domach ubożsi chłopcy, owinięci od stóp do głowy pancerzem powroślanym, z uczernioną twarzą i rękami, z twardo uplecionym ze słomy harapem w rękę, mając na głowie imitację korony królewskiej, uplecionej ładnie ze słomy o spiczastym w krzyżyki zakończeniu. Składali oni wierszowane życzenia noworoczne, zazwyczaj własnego pomysłu — otrzynując od gospodyni „draba”, t. j. niewielki, specjalnie w tym celu wypiekany bochenek chleba i kawał kielbasy. Nazywano ich „drabami” i straszono nimi dzieci.

Gospodarstwo rodziców składało się z trzech mógów pola. Spośród 7-ga rodzeństwa — byłem najstarszy. Ojciec jeździł trzykrotnie do USA, oraz 2-krotnie na Węgry — za pracą zarobkową. Były to ciężkie dla biedaków czasy, chleb był rzadkim gościem w domu, a często gesto i soli brakowało.

Przyszedłem na świat w domu, który już szczytł się kominem. Stał on szczytem do drogi, od której był oddzielony dużym ogrodem, pełnym drzew owocowych: jabłoni, gruszy, wiśni i śliwek. Przed oknem, wypianstowane przez matkę, pachniały wiosną i latem ładne grządkki kwiatowe i krzewy róż.

Dom, kryty strzechą słomianą, t. zw. „kiszkami”, był jednoizbowy — z sienią, komorą chlewną i oborą — pod jednym dachem. Po dłoga była gliniana. Jeden kąt izby, koło drzwi, zajmowała kuchnia i piec chlebowy z ciepłą susznią i nawierzchnią pieca, służącymi do suszenia zboża, oraz wylegiwania się, szczególnie porą zimową. Dalszymi meblami były: rodzinne łóżko, szafa na naczynie (grubej roboty kredens), długie ławy pod ścianami, kilka stołków, stół, oraz piękny i duży zegar amerykański, nakręcany raz w tygodniu — i dwuosobny szereg obrazów różnych świętych, wśród których czołowe miejsce zajmował ładny ozdobny krucyfiks za szkłem. Był on najlepszym wyrazem meki chłopca — człowieka.

W obszernej sieni stały potężne żarna, na których mełło się wszelakie zboża, a najczęściej żyto na chleb, bo do młyna nie wożono. Najlepiej było mleć w dwójkę. Była to ciężka robota i połączona z wyskakiwaniem żarnówki z dziurki w kamieniu, skutkiem czego obijało się o ścianę palce do krwi.

W komorze stały siasiki na zboże (tak często puste!), wielka skrzynia „stolarska” z zamkiem na klucz — służąca do przechowywania „łachów odświętnych”, papierów gruntowych, a czasami paru groszy. Oprócz tego stały w komorze różnego rodzaju przedmioty, narzędzia stolarsko-ciesielskie ojca, ogromna beczka na kapustę kiszoną, paczki na suszone owoce i grzyby — a u góry pod samym sufitem — półki, kryjące największe moje skarby: książki, stare kalendarze, broszury, gazety, które od dzieciństwa pokochałem i skrzętnie gromadziłem. Spośród gazet pamiętam „Przyjaciela Ludu”, „Więca Polskiego”, „Pszczółkę” i „Kłosa”, które otrzymywał mój dziadek (ojciec matki), żywo interesujący się polityką.

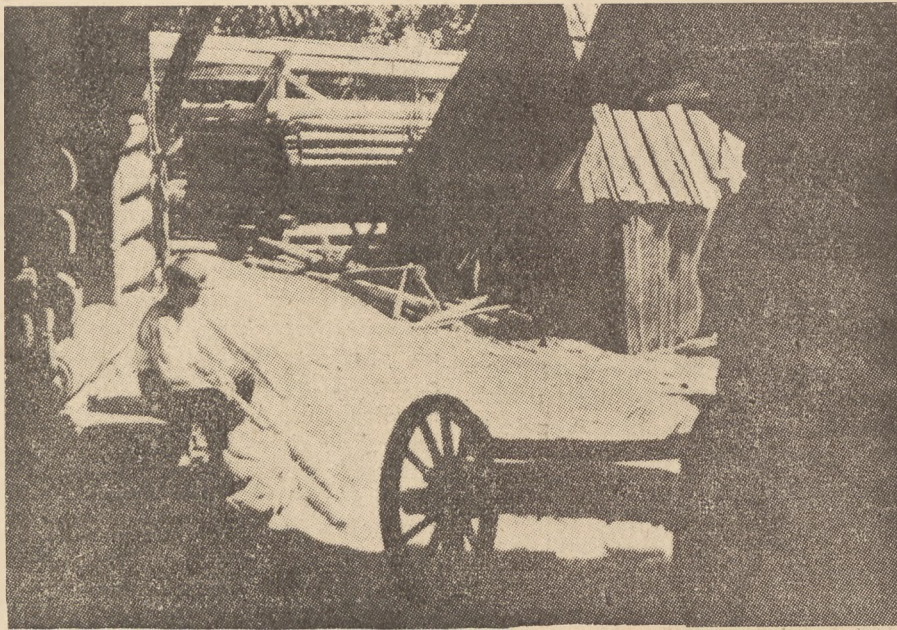
W głębi podwórca stał osobny budynek, w którym mieściły się dwie stodoły z dużym pośrodku boiskiem-„klepskiem” do młócenia zboża. Grzmot cepów płynął hen — daleko, a rozlegał się po całej wsi, bo wszędzie młociono. Wialni we wsi nie było. Omłot czyszczono, rzucając go „siedleczką” na przeciwną stronę boiska. Ruch ręki w czasie rzutu zakreślał w powietrzu kształt półkierszyca. Ziarno oddziało się od plewy i układało w krzywą zaspę od śiany do śiany. Resztki plewy odwiwała chodząca przodem osoba — machając workiem. Następnie — czyszczono zboże na ręcznych przetakach i rzeszotach, oddzielając tym sposobem grube, dobre ziarno od pośledniego i oczyszczając je z grudek ziemi.

Poniżej była stajnia dla konia. Bywało, że wiosną kupował ojciec jakąś kobyłę do robót polnych, ponieważ posiadał wszystkie potrzebne narzędzia rolnicze wraz z wozem. Z braku paszy na zimę, sprzedawał konia po robotach jesiennych — na czym zwykle tracił, jednak w okresie robót polnych nie był zależny od nikogo — i dlatego bywał zadowolony. Za stajnią była gnojownia, a jeszcze dalej — murowana z potężnych bloków kamiennych piwnica na ziemniaki. W jej ciemnych czeluściach przesiedzieliśmy kilka tygodni w okresie wojny 1914—15 r., kiedy Osobnica była objęta działaniem bitewnym.

Oprócz własnych trzech morgów pola dzierżawili rodzice dwa morgi ornej ziemi — od jednego z sąsiedniej rodziny Leśniaków, który „od pamiętnika” przebywał w USA.

Upragnioną sztukę czytania posiadałem jeszcze przed 6-tym rokiem życia. Jest to zasługa mojej matki, kobiety — jak na ówczesne wiejskie stosunki — rozumnej, dość szeroko ocytananej, posiadającej oprócz kobiecych i religijnych książek i czasopism — Sienkiewicza, Krzewskiego, Konopnicką, Lenartowicza — i sporo innych.

Matka była córką Michała Bartusia, jednego z przedniejszych przodków i polityków chłopskich Osobnicy i powiatu. Dziadek był najmłodszym z 12 braci i jedynej siostry, Marii, która była babką znanego działacza i pisarza — Władysława Wójcika. Dziadek był dobrym gospodarzem na 15 morgach, kochał się w „krwistych ogierach”, które stale hodował, roztrąpnym radcą gminnym, asesorem i politykiem, nachodzonym przez żandarmerię austriacką za przechowywanie ks. St. Stojałowskiego. Zajmował również jakieś stanowiska w powiecie. Stale dom dziadka zavalony był gazetami, które rozdawał odwiedzającym go sąsiadom. Znał on sztukę czytania druku i podpisania się, ale pisać nie umiał. Zamierzał on „wyedukować” mnie na człowieka — niestety zaskoczyła go niedługo śmierć. Dom dziadka znajdował się o niedleg, dlatego też dużo z niego przesiadywałem. Był on mężczyzną średniego wzrostu, muskularny, barczysty o



Fot. J. Chlusiński

sumiastym wásie, jasno-konopiastej czuprynie i niebieskich oczach. Pod względem fizycznym był jednym z najsilniejszych we wsi. Twarz miał rumianą, poważną — sarmacką.

Dziadek miał 2-ech synów i 3 córki. Starszy wuj, Jan, wyemigrował w 16-tym roku życia do USA, gdzie ciężką pracą doszedł do własnego domu w Chicago — i tam zmarł w 1937 r. Reszta pozostała w Osobnicy na roli.

Ojciec był najmłodszym z rodzeństwa. Ojca stracił jeszcze w wieku dziecięcym. Wiem tylko, że dziadek miał na imię Jakub, że służył w jakiejś wojnie, czy w powstaniu, skąd powrócił ranny w bok i skroń, na której oprócz głębokiej szramy nosił „gęste jak sito, czarne centki prochu pod skórą”.

Po śmierci dziadka Jakuba, pozostali starsi bracia i siostry mego ojca sprzedali ojcówinę przenosząc się jedni — do Ryglie, drudzy do USA, pozabawiając ojca, wówczas małoletniego, prawie mu przysługującego spadku. Ojciec wychował się u bliskich krewniaków, Kwiloszów, a gdy dorósł, odkupił z ojcowizny dwa morgi pola, które od rodzeństwa ojca nabył kiedyś jego wychowawcy. Często wspominał, że pomimo swoich wędrówek po świecie — nie mógł zamieszkać gdzieś indziej na stałe, ale ciągle wracał w te strony, gnany sentymentem i ogromną tęsknotą za strzępem dziadkowskiego zagonu.

Ojciec (1867—1933) był analfabeta — za ledwie umiał się podpisać. Jednak jako człowiek który dużo emigrował, wiele widział i przeżył — posiadał sporo wiadomości z geografii, z historii, i powszechnej, i polskiej, znał na pamięć nazwy prawie wszystkich stolic świata, ważniejszych rzek, wielkich ludzi i ważniejsze daty. Obydwał z dziadkiem karmili mnie wiadomościami o starych chłopskich dziejach, o poniżeniu społecznym, o potrzebie jakiegoś ratunku dla biednej wyzyskiwanej i przeludnionej wsi, dalej — o chłopskiej sile, o potrzebie wzięcia się do kupy i wielu, wielu sprawach, których często nie rozumiałem jeszcze, ale które sprawiały ból tak wymowny, że już wtedy zaczęły budzić w podświadomości młodej mej duszy pierwsze ogniki rozrastającej się z czasem w zarzewie świadomości klasowej.

Poza pracą zawodową na roli pracował ojciec jako cieśla, stolarz i kołodziej, kochał się w muzyce i rzeźbiarstwie. Wiele Chrystusików frasośliwych i innych świątków

wyszło spod dłuta i kozika ojca i stanęło na wielu rozstajach i drogach polnych.

Wielką pasją ojca były skrzypki z drzewa lipowego własnej roboty — na których wygrywał prześliczne melodie wiejskie. Po najcięższej nawet pracy w polu, czy przy cieśielce — brał ukochane swoje skrzypce.

Grywał też ojciec na weselach w zespole „młodych muzyków wsiowych”. Kiedy już nacieszył się tonami skrzypiec — kładł swą spracowaną rękę na mojej czuprynie i opowiadał mi przeróżne historie, bajki, baśnie, opowieści i legendy, których znał całą moc, a przecież nigdy ich nie czytał — bo też i nie ma ich w druku. Były to samorzodne perełki duszy chłopskiej — raczej twór zbiorowej duszy środowiska. Z tych to skarbow duchowych ludu polskiego winna powstać przebogata, swojska „baśń miliona nocy” — nocy chłopskiej, pracy ku rozświtem własnych kolorów.

Do miejscowej elementarnej szkółki uczęszczałem od 6-go do 12-go roku życia — tj. od 1908 do 1914 r. Rachunków specjalnie nie lubiłem, a — jak na złość z nimi właśnie miałem dużo w życiu do czynienia. Szkoła emocjonowała mnie — uczyłem się pilnie i z zajęciem. Po powrocie ze szkoły najpierw odrobiłem lekcję, a później dopiero siałem do posiłku, na który zwyczajnie składały się ziemniaki, kapusta, żur żytni lub owsiany, czasami kawałek chleba, albo kluski okraszone mlekiem. Czasami były pierogi z twarogiem, a raz w miesiącu — w niedzielę — mięso z królika. Masła prawie nie znałem, bo każdą kruszynę trzeba było sprzedać.

Z prawdziwym zamiłowaniem wykuwałem na pamięć wiersze i artykuły, nie, tylko z podręczników szkolnych, ale i z innych książek, kalendarzy i gazet.

Z książką w rękę wymykałem się w jakieś zacisze poza domem, siadywałem na miedz pośród zbóż — a najwięcej sposobności do nauki dawały mi chwile pasania bydła. Charakter pisma miałem nieładny, koślawy, ale pisałem czysto, starannie. Podręczniki szkolne wraz z zeszytami zawsze były czyściutkie i z wielką dbałością przechowywane na specjalnej półce. Wyjeżdżając do Brazylii pozostawiłem je mojej matce wraz z uciulaną biblioteką.

W domu, w szkole, w kościele, w drodze — bywałem skromny, cichutki, „zadumany”, małowówny — i dlatego miałem najlepszą opinię u ciotek...

Lubiłem obserwować przepiękny krajobraz rodzinnej okolicy, wspaniale upstrzony rozmaitością zbóż, pagórków, zagajników, łąsów i niedalekich gór. Bywało, że w burzliwą, piorunową noc wstawałem ukradkiem z pościeli, by zachwycenym wzrokiem podziwiać przejawiającą się potęgę natury. Lubiłem wspinać się na wierchołki najwyższych drzew, skakać w najgłębszą wodę, — a ile razy skutkiem nieostrożności topiłem się zimą w przereblach, względnie na słabych łodach rzek i stawów! Posiadałem niepohamowany pęd do przygód i niby niewinnego ryzykanctwa tam, gdzie nieraz groziła utrata życia, czy nabawienie się kalectwa!

Rodzice wymagali ode mnie pilności i postępu w nauce, szczególnie dbała o to matka, która nieraz dopomagała mi w wykonywaniu zadań domowych.

W drugim, czy trzecim roku mojej młodości elementarnej, zbliżyłem się do kierownika szkoły, Stanisława Sochackiego, pożyczając od niego książki, które on sam wybierał i polecał mi do czytania. Od tej pory została zadzierżniona między nami przyjaźń szczerą i głęboką, która przetrwała do zgonu nauczyciela.

Żywym przykładem i dowodem sentymentalności ucznia do życzliwego nauczyciela i przyjaciela — i odwrotnie — była napisana przez St. Sochackiego przedmowa do mego debiutanckiego zbiorku pt.: „Echa wiejskie”, wydanego w 1928 r. Po przedmowie zwróciłem się do swego wychowawcy, pomimo iż mieszkałem w Krośnie i miałem już wówczas nawiązane stosunki z osobistościami o znanych nazwiskach, jak: prof. Franciszek Bujak, prof. St. Pigoń, prof. Leon Marchlewski, prof. Jan Owiniński, Jakub Bojko, Jantek z Bugaja, Ferdynand Kuraś, Robert Rydz, Józef Kapuciński — i z wielu innymi.

Wspomniany kierownik szkoły — pomimo, iż sam nie pochodził ze wsi — głęboko interesował się zdolniejszymi chłopcami wiejskimi i wpływał moralnie na ich rodziców w kierunku dalszego kształcenia ich. Dzięki niemu właśnie wyszedł z Osobnicy zastęp ludzi ze średnim i uniwersyteckim wykształceniem.

Zainteresował się on i moją osobą, pragnąc — jak to mówił do rodziców i do dziadka — „wyprowadzić Wojtusia na ludzi...”

W tym celu zabierał mnie nieraz po lekcjach do siebie na szklankę herbaty, wymieniając mi przy tym pożyczane książki, odwiedzał mnie w domu, szedł nieraz ze mną w pole, na pastwisko — a zawsze mi coś ciekawego opowiadał i zwrócił moją uwagę na ten czy ów szczegół otaczającej mnie przyrody.

W 1913 r. rozpocząłem u niego lekcje prywatne, które trwały codziennie od godz. 6 do 8 wieczorem. Celem tych lekcji było przygotowanie mnie do egzaminu do klasy wyższej Seminarium Nauczycielskiego.

Tu mi się jednak coś nie kleiło. To przerwy w nauce z powodu wojny, to inna — dość długa przerwa — z powodu obłożnej choroby nauczyciela. W 1918 roku nastąpiła dalsza kontynuacja lekcji — jednak władze szkolne nie dopuściły mnie do egzaminu, czy też terminu jego odroczyły.

Tak upływały moje chłopięce lata. Pracowałem w polu, bawiłem się w gospodarza w okresie ojcowskiej wojaczki (1915—17), grodziłem zniszczone płoty, posyzywałem „kiczkami” dachy, młóciłem w młódczym bratem zboże — a wieczorem ślepałem przy lampce naftowej nad książkami. Zachęcałem rówieśników do czytania, pożyczając im, co mogłem, co kupiłem za grosz wyludzony od matki, czy od dziadka, bo za książkami przepadałem, pragnąłem posiadać własną bibliotekę, chciałem być niezależnym i pod tym względem załpmonować samemu kierownikowi! Tak do 1920 r. zebrałem około 500 tomów — oprócz broszur i kalendarzy.

Wojciech Breowicz.

Julian Lewański

M E T R Y K A S A M O T N Y C H*)

Dziesięć opowiadań Polii Gojawiczyńskiej, mianowicie „Dwoje ludzi” — które „Książka” ostatnio w spornym nakładzie (ponad 10.000 egzemplarzy) puściła na rynek — są wydatnym przykładem charakterystycznym. Nazwisko autorki dobrze znamy, cenimy zwłaszcza materiały opisowe, obraz środowisk jej powieści przedwojennych, cenimy bardzo dobre pióro. Pamiętam, że wybierała drogę dobrej powieści popularnej, że była czytływana i chwalona nie w kawiarniach literackich, ale przez bardzo szeroki krąg odbiorców. „Dziewczyna z Nowolipiek” były swego czasu rewelacją — powieścią polską do dzisiaj bowiem z przedziwnym uporem wybiera na bohaterów inteligentów! Nic też dziwnego, że powieść Gojawiczyńskiej określała być mogła niemal jako egzotyczna, że dzieje jej dziewcząt czytało się z zainteresowaniem. Zwłaszcza, że komentarz psychologiczny był bogaty i efektowny — nie pytalimy o jego słuszność.

Przekładamy dwie karty nowo wydanej niewielkiej książki. Oto spis rzeczy, w którym łatwo policzyć podjęte tematy. Pięć opowiadań wprowadza przedstawicieli proletariatu, ludzi pracy pięć natomiast skicuje: nauczycielkę, urzędnika, jakiegoś zamożnego inteligenta, inżynierów.

*) Pola Gojawiczyńska: „Dwoje ludzi”, Warszawa 1948, „Książka”

Pytamy o podjętą problematykę. Mieści się ona w świetnie realizowanym tytule; w każdym opowiadaniu bardzo zgranymi, oszczędnymi zabiegami pisarskimi kreślą Gojawiczyńska dwie postacie, (dwoje: mężczyźni i kobiety). Rozróżnienie płci nie jest tak ważne jak różniczenie — dla każdej z tych par — stylu życia, temperamentu, struktury społecznej, z jakiej wyszli. Dwoje ludzi: pozornie są sobie bliscy, pochodzą z tego samego miasta, są tej samej narodowości, są poprostu „ludźmi”. Autorka pokazuje nam co najmniej sześć razy tę samą sytuację tragiczną: spotkanie dwojga ludzi, którzy nie znajdują u siebie żadnej pomocy; spotkania nie wnoszące nic pozytywnego ani tym ludziom ani społeczeństwu. Socjologia tego najprostszego układu społecznego (dwuosobowego), owej czasowej współzależności ma ciągle ten sam mechanizm; najostrzej ukazany jest w pierwszym opowiadaniu.

II

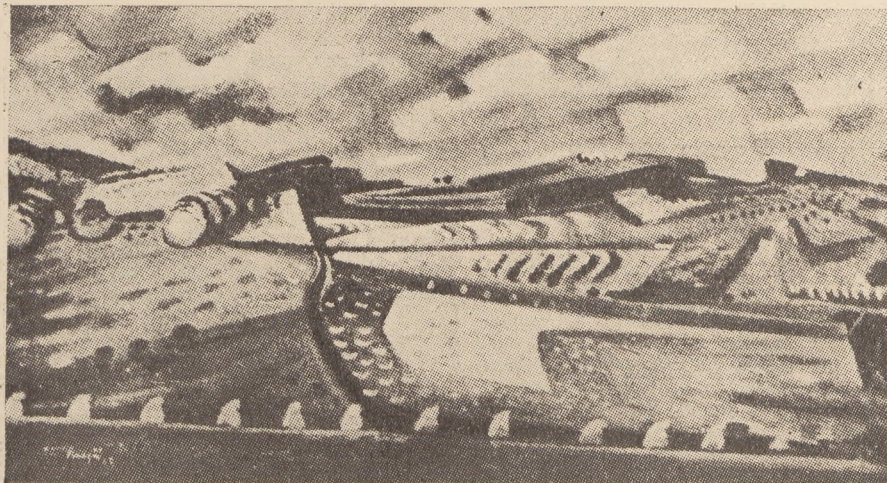
Nauczycielka (z biednej rodziny kształcąca się z wysiłkiem), na przedmieściu małego miasteczka, samotna, czująca do osamotnienia posiada pewien wzór życia starannie ułożonego, pokoik czysty i przytulny i... pragnienie zmiany, małżeństwa, a może tylko mężczyzny Leśniczy — ma dosyć samotności w leśniczówce, wesolych dziewcząt z folwarku, ale oczywiście jest nosicielem innego wzoru życiowego. Spędza godzinę z nauczycielką,

piją herbatę z ciastem. Jego nieco folwarczne zaloty (które miały utworować drogę porozumieniu) nauczycielka przecina opanowaniem i takttem. Leśniczy trafia następnie na folwark, skąd pokoik nauczycielki wydaje mu się biało przystojoną trumną, ona sama wstrętą — Zetknięcie się dwu kręgów myślenia, obyczajów, przyzwyczajaj daje obserwację makabryczną, jest przykre, pesymistyczne, nieszcześliwe. Dalsze cztery „inteligentki” opowiadania przenoszą ten sam wzór nieudanych spotkań na inne płaszczyzny. „Lipa” na letnisku pokazuje nowe formy życia uczuciowego urzędnikowi, który był podporządkowany suchym regulom i ubogiej fantazji własnej żony. „Pod ziemią” wprowadza parę przyjaciół, doskonałych przyjaciół, rozumiejących się bez słów — z tym tylko wyjątkiem, że mężczyzna miarą swojej racjonalności, inteligencji, niewrażliwości na cierpienie chciał mierzyć przyjaciółkę. Dlatego on odchodzi bez słowa Celina w opowiadaniu „Przed nocą” spotyka Piotra, który może ją ocalić przed samotnością: „Coraz mniej i coraz mniej uczestniczy się w życiu. Gasną gniewy, nie podobna wycisnąć lzy z oczu błędna gorące zainteresowania... Jakiś tajemniczy motor porusza tamtych, podczas gdy w niej zamarała potrzeba działania... Jakoś tam się pourządzali, kiedyś znieśli swoje zdołbyce i straty, gdzieś indziej usłyszeli odźwięk swojego życia. Pozostały jakieś śmieśne rzeczy, jakieś pokoje z kuchnią, bielizna, o którą trzeba było dbać, codzienne rachunki, jadło. Czemu nie odeszli całkowicie?...”

To otoczenie pustką jest ciężkie, jest niezawinione, niezbadane; nawet nie tajemnicze. Jest w pewnym sensie metafizyczne — tak jak było i w innych opowiadaniach metafizyczne mimo pozorów społecznych i obyczajowych racji. Oto koniec opowiadania:

„Objęmują się raz jeszcze, z przymkniętymi oczyma. Czoło Piotra pełne namyśłu i medytacji spoczęło na jej ramieniu. Teraz każde w sobie przeżywa akt połączenia, teraz, gdy ramiona zachowały jeszcze uściśk rozpaczliwy i nie prócz znużenia, prócz żałości, prócz smutku i beznadziei. Skrywając przed sobą litośnie twarze, wygnany z raju, płaczą...”

Trudno dyskutować czy powolna śmierć Celiny to przykład choroby psychicznej, czy tylko poczucie bezużyteczności poza strukturą społeczną (i strukturą społeczną w znaczeniu rodziny i w znaczeniu swojej klasy, lub choćby środowiska). Samotność bohaterki ma jeszcze drugi wektor: bezideowość. Bardzo charakterystyczne jest pominięcie przez Gojawiczyńską typów ludzi, którzy by byli nosicielami lub realizatorami jakichkolwiek idei. Może to oznaczać, że w przekroju przedstawionego czasu — akcje mieszczą się w okresie międzywojennym — nie chciała autorka dojrzeć ani haseł, ani działań politycznych i społecznych. Notatnik pisarki nie mieścił ani ocen, ani dyskusji nad stanem ekonomicznym i społecznym. Notuje zaledwie raz akcje wyborcze, raz działania antysemickie, zamyka książkę „krajobrazem” braków Annopola.



Jiří Krejčí: Krajobraz



Studio Teatru Kukielkowego w Pradze

Foto K. Drbohlav



Czechosłowacka sztuka ludowa

Loco Novemesky

Przemiany w literaturze słowackiej^{*)}



Loco Novemesky

Zdaje mi się, że najbardziej godnym uwagi zjawiskiem w naszym świecie artystycznym i literackim w okresie po drugiej wojnie światowej jest stałe wzrastające uświadamianie sobie **bezsensowności takiej twórczości, która wychodzi z osamotnionego artysty.**

Trzeba przekonać się, że niemożliwym jest rozwój po tej właśnie linii, że wykluczonym jest zatrzymanie się, czy też posuwanie się w ulicę, o której z całą pewnością wiemy, że jest ślepa.

Co więc należy uczynić, od czego zacząć? Przede wszystkim należy sprawić, by nasz pisarz, artysta tego okresu, był uzbrojony w wiadomości o socjalizmie. Twórca i budzielnik powinien opanować problemy **ideologii socjalistycznej.** Nie po to, by przypisywać jej konkluzje, względnie by w jakiś mechaniczny sposób roztrząsać je w swojej twórczości, lecz po to, **by stać się zdolnym zrozumieć życie, by być zdolnym widzieć i spostrzegać najrozmaitsze zjawiska, na których powinna skupić się jego uwaga.**

Literaturę słowacką cechuje w jej najszlachetniejszym wysiłku serdeczny stosunek do konkretnego życia naszego ludu. Gdyby stosunek ten wystarczał sam w sobie, literatura nasza byłaby najdoskonalszą. Lecz czy wystarcza? Zwróćmy uwagę jedynie na tak często pojawiający się w beletrystyce i poezji słowackiej motyw życia wiejskiego oraz stosunku do miasta i całego świata. Jakże bezradną staje się nasza beletrystyka w rozwijaniu i roztrząsaniu tego naszego narodowego tematu. Nie umie ona odzwierciedlić haniebnego i obrażającego godność ludzką życia na wsi, każe bohaterowi porzucić je dla przygody, znacznie gorzej odzwierciedla życie w mieście, z którego oszukany, ciężko doświadczony, ścigany przez zły los bohater wraca do swej chałupki, w której może być ubogo, ale uczciwie, obyczajnie i po swojemu. Problemy naszego życia właśnie w ten sposób były dotychczas rozwiązywane przez naszą dotychczasową literaturę, za którą w ślad poszła również współczesna literatura realistyczna. Jasnym jest, że w okresie intensywnej madziaryzacji konserwatywność wsi stanowiła realną pozycję w wal-

ce o zachowanie naszego życia narodowego. Lecz czy była ona naprawdę tego zachowania podstawą i poręką? Przeszłość wykazała, że nie!

Jedynie Jilemnický, jak mi się wydaje — jeśli nie jedyny, to w każdym bądź razie pierwszy — wysłał swego bohatera z tego trudnego i beznadziejnego życia do Związku Radzieckiego, jako symbol optymistycznego zakończenia oraz jako realne wyznaczenie nadziei naszego życia. Jilemnický już wówczas był komunistą i wybrał to rozwiązanie nie jako typowe czy też powszechne w naszych stosunkach, ale dlatego, że chciał świadomie wyznaczyć perspektywę naszemu wyjściu z sytuacji, w którą popadliśmy. Naszą starszą literaturę, która swój punkt wyjścia widziała w zwróceniu się do naszego największego brzemienia, w niezmiennym trwaniu w konserwatywnych przyzwyczajeniach oraz pogodzeniu się z naszą przeklętą nędzą, można usprawiedliwić tym, że w owych czasach nie było jeszcze Związku Radzieckiego a socjalizm był dalekim snem nielicznych ludzi a nie jednomyślnym pragnieniem wszystkich członków tych klas społecznych, dla których jest ustanowiony. Nie byłoby jednak możliwym usprawiedliwić naszą literaturę, jeśliby chciała ona istnieć i rozwijać się bez chęci przyczynienia się do ustanowienia i rozwoju socjalizmu. Tezy współczesnej wiedzy o społeczeństwie muszą być dla niej przewodnikiem i kompasem, nigdy zaś ciasnym szablonem, zwiężającym rozwój twórczości literackiej, zmniejszającym jej poznanie czy też zakrywa-

jącym prawdziwe — socjalistycznie prawdziwe podobieństwo rzeczywistości.

Jeśli w przeszłości typowym był ów chłop, którego nasza literatura wysyłała na błędną drogę w świat, a następnie każała wracać do rodzinnej chaty, jeśli innym typem słowackiego życia był bezsilny emigrant, dziś typowym naszym przedstawicielem zaczyna stawać się chłop, którego wzrastające uprzemysłowienie Słowacji wyrzuca z wiejskiej idylli. Mamy tu do czynienia z najciekawszym objawem. Zacołana, rolnicza Słowacja zamienia się w kraj uprzemysłowiony. Już dziś w początkowym okresie tego uprzemysłowienia punkt ciężkości przesunął się z kręgów społeczeństwa wiejskiego na krąg pracowników przemysłowych, budowlanych, rzemieślniczych.

Przemiany gospodarcze i społeczne, wprost niewiarygodne, jeśli przypomnimy sobie stan sprzed 50 laty, cudowne, jeśli porównamy ich doniosłość dla naszej przyszłości z jeszcze żywymi wspomnieniami naszych ojców, przemiany te czekają na utwalenie ich przez literaturę i sztukę w całości i w szczegółach, w perspektywie historycznej i losach poszczególnych ludzi.

Abyśmy jednak ten proces mogli dobrze zrozumieć, musimy dokładnie i szczegółowo poznać tezy współczesnej wiedzy o społeczeństwie, które przecież dały podniecie do tego rozwoju, a bez których wszystkie przemiany w naszym życiu mogą wydać się przypadkowemu widzowi jedynie przypadkowym zbiorem po-

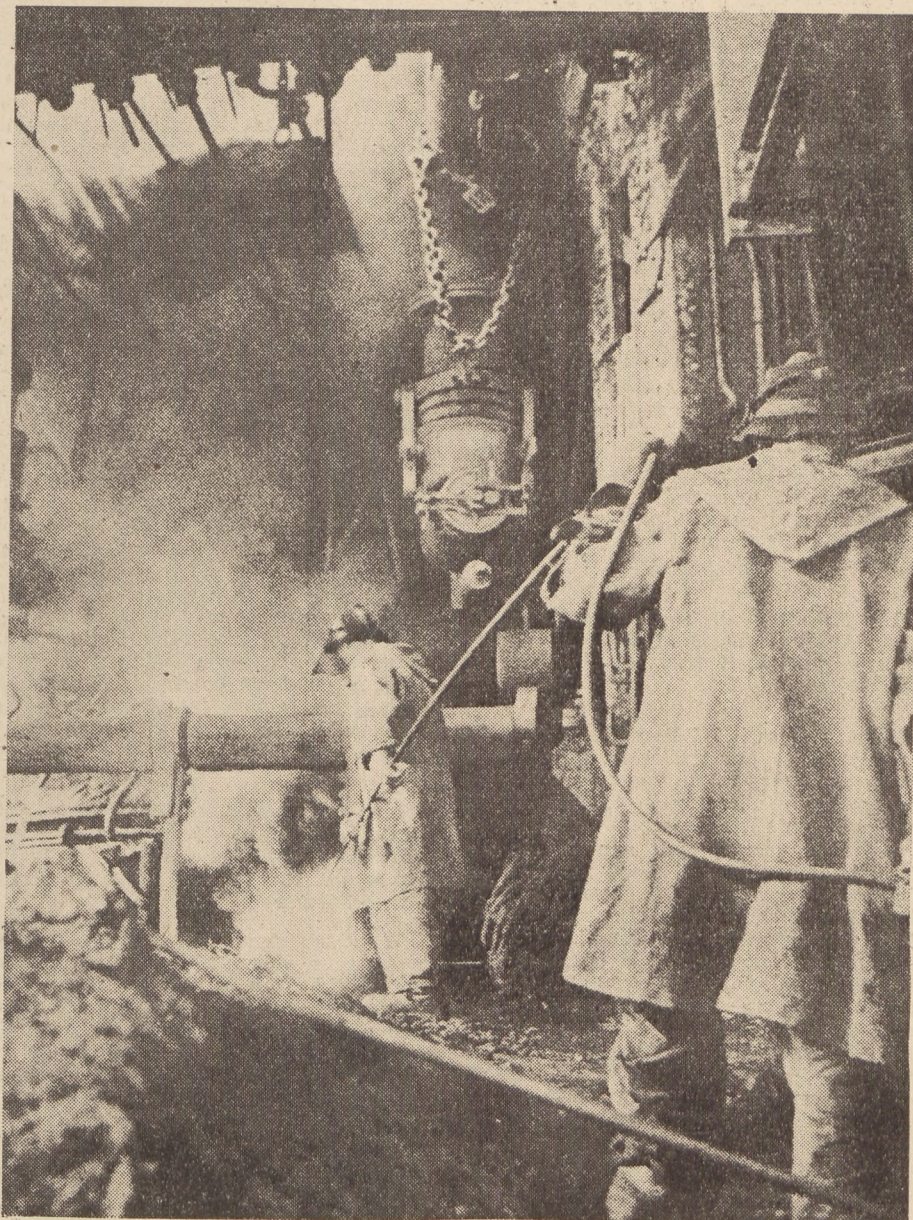
zornych sukcesów. Znajomość głównych tez wiedzy o społeczeństwie nada twórczości literackiej i artystycznej taki charakter, który jej automatycznie uniemożliwi popadnięcie w błędy poprzednich okresów. Umożliwi ona naszej sztuce pokazanie nie stanu, ale ruchu zjawiska, umożliwi dostrzeżenie wyników.

Drugą cechą, która wypływa automatycznie z tego wszystkiego, czego dotychczas domagaliśmy się od literatury i od sztuki, to uświadomiona i bezwarunkowa orientacja pisarzy we wszelkich zjawiskach naszego codziennego życia, przede wszystkim zaś pracującego człowieka.

Powinniśmy pamiętać o tym, by nasi ludzie, którzy przetrwali gwałt i przemoc faszyzmu, którzy zwyciężyli przy pomocy żołnierza radzieckiego w naszym ludowym słowackim powstaniu, którzy zwyciężają w odbudowie swego zniszczonego kraju, którzy razem z czeskiimi ludźmi tej samej klasy zwyciężyli machinacje politycznej reakcji w lutym ubiegłego roku, a dziś budują swój socjalistyczny ustrój, pamiętajmy o tym, by ludzie ci zobaczyli siebie w naszej literaturze, w naszej sztuce. Niech zobaczą się całkowicie, z zalecaniami i wadami, z pomyłkami i osiągnięciami, niech zobaczą swe dzieciństwo — a swe mozolne dzieciństwo zobaczą właśnie w prawdziwym i prawdopodobnym opisanu przeszłości — niech zobaczą swój wiek dojrzały, jakim bez wątpienia jest dzień dzisiejszy.

Takimi są zadania naszej literatury, najwznioślejsze zadania, jakie kiedykolwiek przed nią stały. Ponieważ nie jest już ona obroną ani pocieszeniem rodaków, miotających się w bezsilności, nie jest oburzeniem z powodu niesprawiedliwości losu, ale wyobrażeniem i kształtowaniem zwycięskiego człowieka, po raz pierwszy decydującego o swym własnym losie.

Wypełnienie tych zadań jest głównym celem naszej literatury, naszych pisarzy. Głównym zadaniem nie tylko z punktu widzenia społeczeństwa, do którego ma się przybliżyć nasza literatura, ale również z punktu widzenia literatury jako takiej. Wahanie, odkładanie zadań, zastanawianie się w trakcie ich wypełniania, brak zdecydowania w przystosowaniu do tych problemów, wszystko to kryłoby w sobie wielkie niebezpieczeństwo, że cała nasza literatura, cała nasza sztuka znajdzie się na peryferiach zainteresowań społecznych. Uświadomiliśmy sobie te niebezpieczeństwa na ostatnim powiększonym plenarnym posiedzeniu Komitetu Centralnego Słowackiej Partii Komunistycznej, gdy to jeden za drugim występowali prości robotnicy, stawiając nam pytania tak rzeczowe, przemyślane i przezorne, dalekie od jakiegokolwiek demagogii czy patosu, że musieliśmy podziwiać ich dojrzałość. Uzmysłowiliśmy sobie wtedy, jak bardzo nasza twórczość literacka i artystyczna, nasze życie intelektualne są zapóźnione w porównaniu z rozwojem sił społecznych, zamiast znaleźć się na przodującym, kierowniczym stanowisku.



W hucio

^{*)} Fragment z przemówienia na Zjeździe Pisarzy Czechosłowackich odbyty w Pradze w dn. 4 — 6 marca 1949 r.

Co myślą Francuzi o sytuacji w swojej ojczyźnie?

Organizator powyższej ankiety zebrał na zamówienie redakcji „Wsi” kilka wypowiedzi mieszkańców Grenoble i departamentu Isère, wybranych przypadkowo wśród różnych warstw społecznych. Wszyscy oni uczestniczyli w ruchu oporu, choć nie reprezentują tych samych idei politycznych i filozoficznych.

Z wielką jasnością wyrasta w tych wypowiedziach obraz niezadowolonego, które nurtuje naród francuski, i wzrastającego oporu, przede wszystkim klasy robotniczej, na stronę której przechyla się coraz wyraźniej drobne mieszczaństwo i chłopstwo.

1) Maurice Prieto, robotnik zatrudniony w przemyśle chemicznym, były ochotnik w brygadzie międzynarodowej w Hiszpanii, kombatant France-Tireurs et Partisans Français, deputowany polityczny (Buchwald).

„O naszej najbliższej przeszłości powiem jednym zdaniem: w chwili wyzwolenia nie byliśmy sami w naszym kraju, mieliśmy amerykańskich i angielskich gości. Dzisiejsza sytuacja jest dla mnie jasna. Nasz rząd reprezentuje wielkich posiadaczy. Sprzedają on Francję, jej interesy narodowe i niepodległość w zamian za protekcję i pomoc w eksploatowaniu nas, robotników. Realizują oni wielki zyski, podczas gdy my nie mamy nawet „minimum vital”. Lecz polityka ich jest krótkowzroczna, a cierpliwość mas ludowych się kończy. Jestem optymistą, szczególnie obserwując reakcję towarzyszy pracy. Nawet ci naiwni, którzy w zeszłym roku myśleli, że Amerykanie chcą nam dać wszystko — za nic, za darmo, dziś zmienili zdanie, widzą jak to jest naprawdę. My, Francuzi, nie zgadzamy się na sprzedaż naszych wolności i naszego kraju za kilka ton suszonych gruszek. Rząd nie pyta się nas o zdanie — to prawda, ale my, robotnicy i wszyscy inni potrafimy tupnąć nogą i przypominąć o naszym istnieniu. Coraz więcej jest wśród nas takich, co mówią, że dość już tego bałaganu, że to nie warto wysilać się, pracować więcej, niby dla Francji, a w rzeczywistości dla patrona, który kupi sobie nowego Chevroleta z tego, co my nie dojadamy. Mamy dość tego rządu, który broni fabrykantów, a w odpowiedzi na nasze żądania daje wiatraka... Jestem optymistą, bo wierzę, że zbliża się dzień, kiedy wszyscy, co myślą jak ja lub podobnie, zjednoczą się i ustanowią rząd demokratyczny, a wraz z nim inną Francję”.

2) Roger Bonenfant, górnik z basenu La Mure, syndykalista, uczestnik strajku w 1941 roku w Pas de Calais.

„Co myślimy o sytuacji we Francji, my, górnicy, powiedzieliśmy naszym ośmiotygodniowym strajkiem. Spadły i spadają na nas nadal represje rozwścieczonych kapitalistów, jakich nie znaleźliśmy w czasach III Republiki, lecz duch nasz jest silny. Rezultatem tych represji jest jeszcze większe zjednoczenie się wszystkich górników wokół C. G. T. Ten krótki urywek z procesu jednego starego górnika, który stanął przed trybunałem za udział w strajku, może być dowodem naszego stanu moralnego.

„Jesteście komunistą? — pyta sędzia.

— Nie — odpowiada stary górnik.

— Jesteście C. G. T-istą?

— Także nie.

— Więc dlaczego nie chcieliście wrócić do pracy? Dlaczego baliście się górników - komunistów?

— Nie, w naszym zawodzie nie ma miejsca na strach. Śmierć mamy przed sobą codziennie, gdy zakładamy dynamit. Nie wróciłem do pracy, bo w takich warunkach nie pracowałem przy „boszach”, nie będę pracować i przy Jules Mochu, nie pracowałem przy „SS”, nie zmusi mnie więc C. R. S.”

Wrócił do pracy śpiewając międzynarodówkę, ale strajk się nie skończył. To jest tylko zawieszenie broni. U nas, nie pozwalają nam czuć nad bezpieczeństwem w kopalniach, a płacą 560—590 fr. dziennie, za 8 godzin pracy w szybie, na dzień! Dlaczego tak jest? Bo przemysł węglowy został nacjonalizowany przez wrogów nacjonalizacji i jest on dziś wspólną własnością tej grupy wyzyskiwaczy, która rządzi Francją. W Pas de Calais znałem dużo górników Polaków. To dobrzy robotnicy. U Was, w Polsce, górnicy są otoczeni opieką i sympatią całego narodu, my jesteśmy otoczeni kordonem C. R. S.! Ale to nic, przypominam: „Ce n'est qu'une trêve!” (To jest tylko zawieszenie broni!).

3) Gerard Peiss, pisarz (autor „La terre promise” Edition sociale, 1947) uczestnik ruchu oporu w dep. Nord, dyrektor „Maison de la Culture” (Dom kultury), członek komitetu federalnego K. P. F.

„Moim zdaniem, wszystkie nieszczęścia, których doznajemy obecnie we Francji, są rezultatem powrotu do władzy elementów wielko - kapitalistycznych. W okresie powojennym zdawało się, że skompromitowani swoją kollaboracją z okupantem przedstawiciele wielkiego kapitału zostali wyeliminowani z życia politycznego kraju. Okazało się jednak, że są oni dużo zręczniejsi niż przypuszczaliśmy. Część z nich w porę zeszła z widowni politycznej, usunęła się w cień, inni zostali umiemyści w „londyńskim ruchu oporu”, by zabezpieczyć obecnie powrót do steru, nawet tym, których uważaliśmy za definitywnie unieszkodliwionych. Oczywiście cała ta operacja odbyła się i miała możliwość sukcesu jedynie dzięki interwencji kapitału zagranicznego, szczególnie amerykańskiego. By utrzymać się obecnie

ANKIETA „WSI”

u władzy, ta mała grupka wielko-kapitalistyczna wasalizuje się coraz bardziej wobec Wall-Street'u. Plan Marshalla został zamaskowany przez wszystkich. Nawet prasa i koła reakcyjne, zmuszone są przyznać, że ma on charakter militarystyczny i jego celem zasadniczym jest uratowanie zagrożonej kryzysem ekonomiki amerykańskiej. Mało obchodzi jednak naszych „rządców”, że ratując chwilowo Amerykę, przyspieszają kryzys we Francji, że rujną wciąż szerzej kręgi ludności. Ich strach przed swym narodem jest tak wielki, że gotowi są na wszelkie ustępstwa wobec swych protektorów. Ale konsekwencje tej nieszczęsnej polityki nie dają czekać na siebie. Coraz więcej zakładów przemysłowych likwiduje swą produkcję, gdyż na rynku ukazują się towary „Made in USA”. Bezrobocie, podobnie jak we Włoszech i Belgii, wzrasta też bezustannie we Francji. Wszystkie warstwy społeczne są dziś ofiarami tej prawdziwej kolonizacji amerykańskiej. Pytacie mnie, jaką jest sytuacja intelektualistów i wolnych zawodów? Jesteśmy zależni w przeważającej

cały ciężar skarbu państwa. Mogę sobie pozwolić na stwierdzenie, że mały przemysłowiec lub kupiec może istnieć tylko skrywając swe prawdziwe zyski i obroty przed skarbem państwa. Nie powiedziałbym tego francuskiemu dziennikarzowi, bo miałbym jutro inspektora finansowego u siebie, ale u Was ludzie wiedzą, jak idzie handel we Francji. Wielkie przedsiębiorstwa, różne spółki akcyjne (często fikcyjne) płacą mniej podatków niż my. Jakże widzę wyjście z obecnej sytuacji? Trzeba innej polityki. Podatkami należy obłożyć „wielkich”. Ludziom trzeba więcej płacić, by mogli kupować, jednym słowem trzeba podnieść stopę życiową pracujących, by zapewnić prosperity wszystkim warstwom społecznym. W sprawie polityki zagranicznej to pochwałę się tym, że w plan Marshalla nie wierzyłem od pierwszej chwili. Jestem pacyfistą, przez sam fakt, że jestem ofiarą wojny”.

5) Gabriel Chevalier, rolnik z Vinay (Isère), członek ruchu oporu w Maquis des Alpes.



Afisz artysty Fougerona z okazji Międzynarodowego Dnia Kobiet 6 marca. (Manifestacja kobiet w Paryżu została zakazana przez prefekturę policji).

mierze od poziomu życiowego tych, którzy są, lub przynajmniej powinni być naszymi klientami. Dodajmy do tego ogromne trudności wydawnicze i zreasumujmy: wolne zawody i intelektualiści w rezultacie zubożenia ludności znajdują się w ciężkiej sytuacji, ich stopa życiowa bardzo się obniżyła. Czy możemy być obojętni wobec aktualnej sytuacji w kraju? Oczywiście nie. Nic więc dziwnego, że prawie wszyscy intelektualiści określili swoje pozycje. Część, znaczna mniejszość, zaakceptowała, mniej lub więcej świadomie, służbę w obronie istniejącego porządku. Ten fakt nie jest do ukrycia, lecz jest on zrozumiały z powodu przesądów klasowych i strachu przed „motlochcem”, przed wszystkim nowym. Lecz znaczna większość intelektualistów, choć o różnych, odcieniach poglądowych, walczą o inny układ społeczny, który zapewni wszystkim normalne warunki życia i twórczości, dzięki pracy w spokoju. O kwestii pokoju nie wolno nam przecież zapominać. Wznagające się wydatki wojskowe, udział w planach atlantyckich itd. niepokoją nas coraz bardziej. I ten pacyfizm „działający”, walka o pokój, jest jednym z głównych elementów, wiążących intelektualistów z masami ludowymi przeciwko rządowi dzisiejszemu i podżegaczom wojennym, którzy są jego mistrzami.

4) Guy Ramillon, drobny przemysłowiec i kupiec, właściciel fabryczki koszul i sklepu galanteryjnego, były kombatant F. F. L., inwalida wojenny.

„Jeszcze w czasach III Republiki utarło się u nas pojęcie, że przemysłowcy, kupcy, rzemieślnicy są warstwami uprzywilejowanymi w społeczeństwie. Często to twierdzenie dawało, lub daje się jeszcze umotywić pozorami zewnętrznymi jak naprzykład warunkami mieszkaniowymi, stopą życiową itd. Trzeba zresztą przyznać, że liczni przemysłowcy i kupcy sami są przekonani o słuszności tej bezsensownej konwencji. W dobie obecnej rzeczywistość mówi o czymś zupełnie innym. Owszem, wielu przemysłowcy (les gros) grają rolę dominującą w społeczeństwie, ale my, mali, jesteśmy w zupełnie innym położeniu, nasza rola jest zdeterminowana niezależnie od naszej woli. (Przypr. red.: Pan Ramillon nie używa słowa „kapitał”, lecz zawsze „les gros” — wielcy). Lecz wróćmy do rzeczy, moim zadaniem jest odpowiedzieć na pytanie konkretne o sytuacji w kraju a nie rozważania z zakresu politycznej ekonomii. W mojej branży jest źle. Przyczyn są dwie: primo: brak popytu, nie ma kupców, ludzie nie mają pieniędzy i nie chcą kupować; secundo: nadmierne podatki. To my, „klasy średnie”, nosimy na sobie

trustów, która nie może istnieć nie grzebiąc swych konkurentów. Nie praktykując systematycznie dumpingu. Rząd ze swojej strony stara się zniszczyć prasę niezależną i niewygodną dla niego, podwyższając ceny papieru, transportu, stosując kary pieniężne za każdą nieprzychylną informację. Pozwala on na inwazję tanich publikacji amerykańskich, składających się z artykułów już raz opublikowanych, a więc zamortyzowanych (New York Herald Tribune).

Zgnilizna panoszy się w naszej prasie. Znow wychodzą dzienniki i tygodniki półpornograficzne, pół-sensacyjne, które schlebają najniższemu instynktom czytelników. Bezrobocie, zgnilizna, marshallizacja — oto smutny obraz naszej prasy.

Chciałbym powiedzieć kilka słów o naszej prasie demokratycznej. Są to dzienniki prowincjonalne (regionalne), które rozwinęły się od czasu wyzwolenia. Dobrze redagowane, szybkie — dzienniki te znacznie zwiększyły swój nakład w porównaniu z okresem przedwojennym. „Front National” (Front Narodowy) zrodzony w czasie walk o wyzwolenie kraju kontroluje dziś 13 takich dzienników, reprezentujących przeszło milion czytelników. Ich rozwój jest naszym sukcesem. Ta prasa postępuje stale rozszerza swój krąg działania, wychowuje swych czytelników i jej znaczenie wciąż wzrasta. Jedną z przyczyn naszego sukcesu jest konsekwentna propaganda w obronie pokoju i metodyczne demaskowanie podżegaczy wojennych, którą prowadzimy na łamach prasy „Front National”. Lud Francji nie chce wojny i dlatego darzy z ufaniem dziennikarzy broniących pokoju”.

7) Madame M. Thomas, dyrektor biblioteki departam. w Grenoble, łącznik France-Tireurs et Partisans Français w dep. Nord.

„Prasa i propaganda amerykańska chce nas przekonać o niebezpieczeństwie sowieckim i demokracji ludowych i jako „pomoc” proponuje nam dobroczynny plan Marshalla. Nasuwa mi się na myśl pewne porównanie. W 1940 r. Hitler, po zajęciu Francji, wydał rozkaz swym żołnierzom, by zachowywali się „korekt” wobec ludności. Rozklejono wszędzie afisze, które pokazywały żołnierza niemieckiego, trzymającego w ramionach dziecko francuskie, znalezione na drodze. Prasa kollaboracyjna, która demoralizowała już naszą opinię publiczną przed wojną, w tym smutnym okresie z jeszcze większym tupetem przekonywała nas o niebezpieczeństwie sowieckim i szlachetności nazistów. Gra nie warta była świeczki. Niemcy przekonali się o tym przy rekrutowaniu ochotników do V. F. (Legion Volontaire Française).

Ruch oporu pokazał im, że Francuzi nie są bynajmniej łatwowierni. Dziś sytuacja jest analogiczna. Szum czyniony wokół dobrodziejstwa wujka Sama dał niewielkie rezultaty. Wszyscy: robotnik czy inteligent, chłop, czy kupiec, zdają sobie sprawę, że Plan Marshalla jest nieszcześciem Francji i co najważniejsze jest to plan wojny. Jestem przekonana, że impreza amerykańska z pseudo - dobrodziejstwem zakończy się takim samym krachem, jak niemiecka z afiszem w 1940 r. Naszym hasłem naczelnym i odpowiedzią kobiet francuskich na przygotowania do pochodu krzyżowego jest: „Matki francuskie nie dadzą swych synów na wojnę przeciwko Związkowi Radzieckiemu”.

8) Marcell Prenant, profesor Sorbony.

„Moim zdaniem Francja idzie pełną parą ku kryzysowi. Zarysowuje się on coraz wyraźniej i rozpoczyna w sposób jak najbardziej klasyczny. Bezrobocie rozszerza się już dziś, gwałtowny spadek cen artykułów rolniczych, obniżka płac itd. Nie potrzebuje chyba rozpisywać się, co oznacza kryzys To jedno słowo charakteryzuje najlepiej sytuację ekonomiczną i społeczną Francji. Położenie Uniwersytetów i pracowników nauki odpowiada sytuacji wewnętrznej Francji. Brak instytucjom naukowym kredytów, których ministerstwo oświaty udziela niechętnie. Nasze warunki materialne i moralne są trudne. Dwa razy w ciągu 1948 roku nie miałem ani grosza w kasie laboratorium i musiałem po prostu walczyć o subwencję, zresztą bardzo skromną. A warunki moralne. W roku 1946 mój przyjaciel, Fryderyk Joliot-Curie, zwierzył mi się, że musi być coraz bardziej ostrożny z każdym słowem, z każdą wypowiedzią, by nie stać się ofiarą podejrzeń najbardziej nonsensownych i fantastycznych. Sądzę, że Joliot-Curie przesadza. Dziś, proszę mi wierzyć na słowo, przekonałem się, na ile miał on rację. Wszystkie te objawy dławienia nauki i myśli francuskiej są rezultatem polityki kapitulacyjnej naszego rządu wobec imperialistów amerykańskich.

Nigdy w historii Francji nie mieliśmy w czasie pokoju sztabów militarnych mocarstw obcych na naszym terytorium. Moja niedawna podróż do Algieru przekonała mnie jeszcze bardziej o ingerencji amerykańskiej politycznej i terytorialnej.

Nie macie co do tego chyba wątpliwości, skoro jesteście już dwa lata we Francji. Uważam, że nasza walka o odzyskanie niezależności jest jednocześnie walką o pokój”.

Zebrał wypowiedzi Karol Keves

Przypominamy
o wpłaceniu zaległej
prenumeraty
Administracja

III

Zbierzmy teraz opowiadania o ludziach pracy. Użyjmy tego określenia dla bohaterów opowiadań Gojawiczyńskiej w wąskim znaczeniu: są to jednostki, które od wczesnych lat życia muszą zarabiać na siebie, utrzymują z trudem jakiś minimalny poziom życia, nie znają dróg do poprawienia sobie narzędzi pracy i dróg zarobkowania, uzależnieni są całkowicie od przypadkowo spotkanego pracodawcy i wahań rynku pracy. Trzy obrazki wprowadzają nastrój jakiegoś rzetelnego optymizmu. Oto majster stolarski, który z trudem dobił się warsztatu, zarobku, pozycji i oznak klasowego awansu (chodzi do cukierni) za cenę życia, złożonego z niesprawiedliwości i przykrości — dobrze czyni małemu kuzynowi, „bidnemu szczeniaku”. Oto para młodych handlarzy z kiosku plażowego wybiera się do kąpielni rano, gdy nie ma jeszcze nad morzem nikogo: plaża, kostium, piękne ciała na piasku — są związane z klasą posiadaczy, bogaczy. Słońce i powietrze jako dystynkcja klasowa! Przyroda stała się dla tych proletariuszy objawieniem:

„Złożyli wzajem głowy na ramionach, ocierając szyję o szyję, jak zwierzęta, gestem pieczyoty i pokrzepienia w tym wielkim, pełnym głosów a niemym świecie ziemi, drzew, ptaków i wody”.

Spotkanie głodnego bezrobotnego i wracającej na wieś służącej z Warszawy układa się też stonecznie. Ona nawiązuje (do jakimszawodzie miłosnym!) znowu nie porozumienia, on znajdzie pracę — nie pytajmy czy na długo. Wszystko w książce dzieje się przypadkowo, albo automatycznie.

Szeweć niemowa sprzedaje właśnie stół — w domu nędza, podrastająca córka już zdaje się zesłała na złą drogę — „szeweć nakupił jaśda, zrobi córce pantofelki, ho, ho, może zafunduje jaką sukieneczkę? Spojrzył na stół jak na ofiarę, którą się składa niewiadomemu bóstwu na daremny okup. Przedzaj czy później Mania wyfrunie z ciemnej kłitki, a szeweć zmarnuje taki sprzęt za byle co”.

Równie pesymistycznie rozwiązany jest los Sitarka, bohatera ostatniego opowiadania. Zajmuje ono czwartą część książki, jest najkompletniejsze jeśli chodzi o biografie postaci, najobszerniejsze w motywach. — Sitarek otrzymał tygodniową wypłatę, spotkał Olesię, ułożył małżeństwo, pobrali się nawet. Ale ta pierwsza duża wypłata była i ostatnią — fabryka powoli staje, Olesia znika, Sitarek szuka pracy. „Stali pośrodku, Sitarek i Pia-secki, oglądając się na wielkie miasto, War-

szawę, patrząc przed siebie, na wydmę An-nopola. Wyglądało to jak odrzucona na bok kupka nędznego śmiecia — rojąca się od ży-wiołów ludzkich, nikomu już niepotrzeb-nych”.

To ostatnie opowiadanie potwierdza obser-wację poprzednich: świat jest wielki i strasz-ny, niepoznawalny. Życie ludzkie może być pomyślne, ale częściej jest trudne i tragiczne. Inteligencji martwią się o jego kształt uczu-ciowy, robotnicy walczą o kalorie pokarmu i o ubranie. Walczą z nieokreślonym, niena-zwanym i nienazwalnym czasem, losem, wy-padkiem.

Pytamy jeszcze: czy ta ignorancja, ta nie-wiedza to postawa bohaterów czy również i autorki? Niestety także i autorki. Tutaj wła-snie odnajdziemy źródło owego mdłego, pes-ymistycznego humanitaryzmu mieszczańskie-go: litujcie się czytelnicy nad Sitarkiem, Ma-nią-prostytką, samotną Celiną. Bo nic i nikt im nie poradzi, nie poprawi. Nie trafia nikt z malowanych w opowiadaniach postaci na pomoc rodziny, na formy jakiegokolwiek so-lidaryzmu, na organizację lub partię. Nie są nawet wspomniane. Tragiczną bohaterowie są dokładnie osamotnieni. Nawet nie zazna-czono potencjalnych możliwości spotkania z takimi formami życia i pracy, które dałyby lepszą przyszłość.

IV

Nie pomogło książce, że przedstawia kon-kretny czas i konkretne miejsca. Inżynier likwiduje fabrykę, w której pracował Sitarek, ponieważ kupił zbyt dużo maszyn. Bezrobocie Sitarka to wina przypadku i złej kalku-lacji a nie ustroju! Gojawiczyńska przedsta-wia przyczyny losu swoich bohaterów, ale tylko najbliższe, pierwsze ogniwo. Dalszych nie tylko nie bada, ale nie wspomina o nich w ogóle. Nie odczuwamy najsłabszej nawet sugestii, aby do takiego badania chciała za-chęcić czytelnika, który mógłby otarzyć łzę pisać, dlaczego w ogóle istnieje Annapol?

Kiedy więc stwierdziliśmy, że książka nie odpowiada postulatowi realizmu, badajmy, czy ma wartość jeśli nie prawdziwego, to dobre-go obrazu. Możnaby pytać o motywację ar-tystyczną kilku elementów, poprawić trzy błędy korekty stylistycznej — ale najciekaw-szy jest obraz owych ludzi pracy, ich języka i myślenia. Gojawiczyńska posiada pióro no-woczesnego prozaika, wysoko ukształcone walory dobrego rzemieślnika pisarskiego — i dlatego ważne jest, jak rozwiązała najtrud-niejsze i najważniejsze zadanie.

Wchodzą w rachubę trzy główne możliwo-ści:

1. przedstawić protokółarnie, jak najwierniej teksty wypowiedzi bohaterów-proletariuszy, przedstawić możliwie najprawdopodobniej ich sposób myślenia, zasób możliwych u-czuciowych i intelektualnych procesów (potrzebnych do akcji),
2. przedstawić życie psychiczne robotnika sproletaryzowanego tak, jak się to w po-wieściach, rozmowach inteligenckich za-zwyczaj przedstawia,
3. narzucić czytelnikowi pewien obraz u-czuć i myśli owych ludzi pracy, taki mia-nowicie, który autorowi wydaje się słusz-ny, umotywowany artystycznie i ideolo-gicznie.

Można przypuszczać, że te schematy, które odczytujemy z opowiadań, odpowiadają w znacznej części warunkom punktu pierwsze-go. To oczywista zaleta. Polscy powieściopi-sarze określani są klasowo bardzo wyraźnie i szwankuje u nich umiejętność przedsta-wiania środowisk chłopskich i robotniczych. — Ale już w odniesieniu do wypowiedzi boha-terów istnieje pewna ogólna zasada pisarska, mianowicie, że dialektyzmy łagodzi się, prze-kłada na język pisarski, zważa ich działanie. Oczywiście Gojawiczyńska stosuje się do tej, słusznej skąd inąd reguły. Niestety jedno-cześnie zważa i zespół obserwacji psycholo-gicznych! Do jakiego rozmiaru? Czym wyzna-czonego? To jest właśnie druga przegrana tej książki! Życie psychiczne bohaterów wy-znaczone jest ową negatywną filozofią ży-ciową, licznymi „nie”, cofnięciami i przegrany-mi. Ludzie pracy toczą swoje dni bez pro-testu, bez działania, bez nadziei. Nie pytajmy więc czy to narzędzie czy dokument. Notatnik pisarki był notatnikiem obserwatora, nawet sztabuchem lirycznym, ale nie notesem działacza, który oblicza skutki swojego pisar-stwa, który posiada ostro wyznaczone cele społeczne dla literatury, który chce komuni-kować prawdy i wzruszenia pozytywne.

Książka jest oczywiście dokumentem czasu międzywojennego i to w dwojakim znaczeniu. Daje obraz życia — tego bezideowego, mar-twego morza, ciemnego i niezmiennego. Lud-zie nie tworzą społeczności, spójni — są ciągle sami, umierają z osamotnienia.

Opowiadania są nadto dokumentem pisar-stwa międzywojennego. Oficjalny optymizm rządowy, cenzura, miły mocarstwuoci nie przesłoniły niektórym pisarzom zbliżające



Pola Gojawiczyńska

się katastrofy politycznej i zmian społecz-nych. Pesymizm Gojawiczyńskiej jest chyba więcej smutkiem martwego morza niż ma-nierą sentymentalną.

V

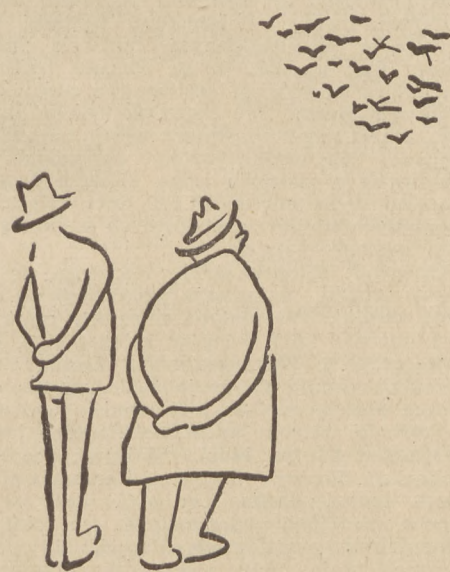
Tu czas wyjaśnić, że opowiadania „Dwoje ludzi” wyszły z druku pierwszy raz w roku 1937. Dlatego właśnie tyle miejsca i uwagi poświęcamy niewielkiej książeczce, że wyda-wca zaniedbał zaznaczenia daty pierwodruku. Zbyt szybko dokonują się u nas zmiany i zbyt szybko poszerza się krąg czytelnicy, aby ta-kie sprawy można lekceważyć. Opuśzczenie daty pierwszego wydania, zaniedbanie naj-prostszej informacji — na jednej kartce — o książce i autorce, wyrządza krzywdę i wy-dawnictwu, i Gojawiczyńskiej. „Opowiadania” mierzone dzisiejszymi postulatami — oceni się jako zacofane, blade, szkodliwe. Z perspek-tywy dwunastu lat ukazać je można w znacz-nie innym świetle. Metryka jest nie tylko formalnością ale i ważnym komentarzem.

Julian Lewański

Tłum. Jerzy Pomianowski

Antoni Czechow

NIEPOKÓJ PUBLICZNY *)



— Szpaki przeleciały. Patrzą, gdzie u-siądą. Cała chmura! Jeżeli, przypuścimy wystrzelić z fuzji, jeżeli potem zebrać, i jeżeli... w ogrodzie ojca protojereja usia-dły!

— Bynajmniej, panie Eupliuszu. Nie u ojca protojereja, a u ojca diakona Wra-toadowa. Jeżeli z tego miejsca wystrzelisz, to niczego nie zabijesz. Śrut jest drobny i traci siłę zanim doleci. Przy tym po-mysł pan sam, za cóż je zabijać? Ptak kat na jagody, to prawda, ale zawsze to żywe stworzenie, że tak powiem — wszelkie ptaki. Szpak, zauważmy też, śpiewa... A czemu to on, zapytajmy śpiewa? A dla chwały śpiewa. Wszelki duch pana Boga chwali.

— Oj, nie! Zdaje się, że siadły u ojca protojereja!

Obok rozmawiających przeszły w mil-czeniu trzy stare dewotki z tobołkami i w łapciach. Popatrzyły w zdziwieniu na Po-czeszychina i Optimowa, którzy wpatry-wali się nie wiedząc czemu w dom ojca protojereja, potem zwinęły kroku, za-trzymały się nieopodal, jeszcze raz zerknę-ły na naszych przyjaciół i — same zaczęły obserwować dom ojca protojereja.

— Tak, miał pan rację. Usiadły u ojca protojereja — mówił dalej Optimow. — Tam teraz wiśnie dojrzały, więc też one poleciały tam sobie podziobać.

Z furtki protopowa wyszedł sam ojciec protojerej Wośmistrzjew a z nim diaczek Jewstigniej. Widząc, że wszyscy zwraca-ją na niego uwagę i nie rozumiejąc, na co właściwie ludzie patrzą, protojerej zatrzy-mał się i razem z diaczkiem zaczął także patrzeć w górę, żeby zrozumieć, o co cho-dzi.

— Ojciec Paisjusz pewno idzie na nabo-żeństwo — powiedział Poczeszychin. — Pa-nie Boże dopomóż!

Przez plac, między naszymi przyjaciół-mi i ojcem protojerejem, przeszli wracając z kąpielni w rzece wyrobniicy kupca Puro-wa. Widząc ojca Paisjusza zwracającego swoje oczy ku wysokościom niebieskim i dewotki, które stały bez ruchu i także pa-trzyły w górę, wyrobniicy zatrzymali się i również zaczęły patrzeć w tę stronę.

To samo uczynił chłopiec prowadzący ślepego żebraka i chłop niosący baryłkę zepsutych śledzi, które miał zamiar wy-rzucić na plac.

— Coś się stało najwidoczniej — po-

wiedział Poczeszychin. — Pożar, czy co? Nie, przecież nie widać dymu! Hej, Kuź-ma! — krzyknął do stojącego opodal chło-pa. — Co się tam przydarzyło?

Chłopina coś odpowiedział, ale Pocz-eszychin i Optimow nic nie usłyszeli. We drzwiach wszystkich sklepów ukazali się senni subiekti. Mularze grzebiący się koto kramu kupca Fertykulina porzucili swo-je drabiny i przyłączyli się do robotników. Strażak, kręcący się bosymi nogami w kół-ko na wieży strażniczej, zatrzymał się, po-patrzył chwilę, po czym zeszedł na dół. Wieża osierociała. To już było podejrzane.

— Czy aby nie pożar? Proszę się nie pchać Świnia czarcial!

— Gdzie pan widzi pożar? Co za pożar? Proszę państwa się rozejść! Po dobremu proszę!

— Pewno zapaliło się od środka!

— Po dobremu prosi, a łapami tyka. Nie machaj pan łapami! Chociaż z pana na-czelnik, ale nie ma pan żadnego pełnego prawa rękoma się posługiwać!

— Na odcisk mi nadepną! A bodaj cię samego rozdeptali!

— Kogo rozdeptali? Ludzie, tu człowie-ka zdeptali!

— Co tu robi ten tłum? W jakim celu?

— Człowieka, celencyjo, zdeptali!

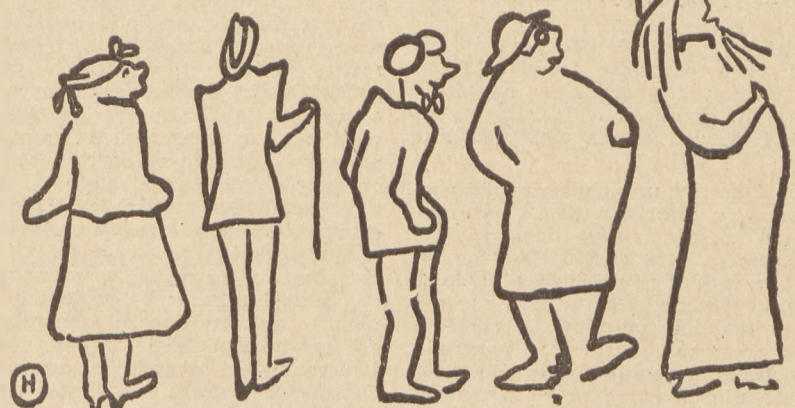
— Gdzie? Rozejść się! Panowie, po do-bremu proszę! Po dobremu prosi się cie-bie, pało jedna!

— Chamów możesz sobie popychać, a dobrze urodzonych — ani się waż! Nie do-tykać!

— No i to mają być ludzie? Czy to ich, diabłów, dobre słowo wzruszy? Sidorow, leć no po Akima Daniłysz! Żywo! Pano-wie, przecież dla was samych będzie gor-ziej! Przyjdzie Akim Daniłysz i sami wte-dy oberwiecie! I Parfion tutaj?! A niby ślepy, także mi święty staruszek! Nic nie widzi, a tam się pcha, gdzie reszta i jesz-cze słuchoać nie chce!

Smirnow, zapisz Parfiona!

— Rozkaz! Tych od Purowa także pan rozkaże zapisać? Ot, ten, co mu gęba roz-puchła — to od Purowa!



Rysunki Hanny Orzechowskiej

*) Z tomu „Opowiadania wesole”, który w tłumaczeniu J. Pomianowskiego ukaza się nakładem Biblioteki w Prenumeracie „Czy-telnika”.

— Tymczasem ich nie zapisuj. Purow ma jutro imieniny!

Szpak ciemną chmurą wleciały nad ogrodem ojca protorejera, ale Poczesychnin i Optimow już ich nie zauważyli; stali bowiem i patrzyli ciągle prosto w górę, starając się zrozumieć, dlaczego taki tłum się zebrał i na co patrzy. Zjawił się Akim Daniłycz. Żując coś i wycierając wargi zarzycał i werznął się w tłum.

— Strażacy, przygotować się! Rrozejść się! Panie Optimow, niech się pan rozejdzie, bo będzie gorzej! Zamiast do gazet pisać różne krytyki na porządnych ludzi pan by lepiej postarał się samemu prowadzić się właściwie! Gazety dobrego nie nauca!

— Proszę pana nie robić aluzji do jawności życia publicznego! — zdenerwował

się Optimow. — Jestem literatem i nie pozwolę panu nastawać na jawność, chociaż obowiązek obywatelski każe mi pana szanować jako ojca i dobroczyńcę!

— Strażacy lu!

— Kiedy wody nie ma, celencyjo!

— Nie gadać mi tu! Jechać po wodę! Żywooo!...

— Nie ma czym jechać, celencyjo!

Pani ogniomistrz strażackimi końmi pojechał odprowadzić ciotkę!

— Rozejść się! Caf się, żeby cię diabli wzięli... Co, smakowało? Zapisz no go, diabelskie nasienie!

— Ołówek mi się zgubił, celencyjo...

Tłum rósł i rósł... Bóg wie do jakich by rozmiarów wyrósł, gdyby w szynku Greszki nie przysłało komuś do głowy wypróbować przyslaną niedawno z Moskwy no-

wą pianolę. Usłyszawszy melodię „Strzałki” tłum stęknął i rzucił się w stronę szynku. W ten sposób nikt się nie dowiedział, czemu się ta ciżba zgromadziła, Optimow zaś i Poczesychnin zdążyli już zapomnieć o szpakach, właściwych winowajcach całego wypadku. Po godzinie już w mieście panował bezruch i cisza; widać było jedną tylko żywą duszę — strażaka, kręcącego się na wieży...

Wieczorem tego samego dnia Akim Daniłycz siedział w kolonialnym handlu Fertykulina, pił lemoniadę gazowaną z koniakiem i pisał: „Oprócz oficjalnego dokumentu mam śmiałość załączyć, wasza miłość, także pewien dodatek od siebie. Ojciec i dobrodziejczy ty mój, jedynie i wyłącznie dzięki modlitwom pełnej cnót pańskiej małżonki, mieszkającej na przemilnym

letnisku w pobliżu naszego miasta — cała rzecz nie doszła do krańcowych rozmiarów! Tyłem się nacierpiał przez ten jeden dzień, że nawet opisać tego nie sposób. Nie znajduję dostatecznie mocnych słów pochwały dla rzutkości Kruszeńskiego i ogniomistrza Portujejewa. Dumny jestem z tych godnych synów naszej ojczyzny! Co do mnie, to uczyniłem to, co zrobić może słaby człowiek, wszystkiego najlepszego jeno życzący swoim bliźnim, a siedząc teraz pośród moich domowych pieleszy ze łzami dziękuję temu, kto zapobiegł przelewowi krwi. Winni, w związku z brakiem dowodów przestępstwa siedzą tymczasem pod kluczem, ale mam zamiar wypuścić ich za jakiś tydzień. Przecież tylko ciemnota doprowadziła ich do wykroczenia!”

A. Czechow — tłumaczył J. Pomianowski

Józef Barteci

Wyższa wiedza dla ludzi na prowincji

(projekt do dyskusji)

Jeżeli pragniemy mieć na wsi dostateczną ilość wykwalifikowanych nauczycieli, musimy wytworzyć atrakcyjność pracy w szkole wiejskiej. Dziś, podobnie jak w przeszłości, marzeniem dla większości nauczycieli wiejskich to praca w mieście, gdzie istnieje możliwość dalszego kształcenia się, wykorzystania tych czy innych ośrodków kultury, lepsza pomoc lekarska itd. itd., a nade wszystko kształcenie własnych dzieci. Największą goryczą przepojone były i są powszechne narzekania wiejskich nauczycieli, że kształcąc cudze dzieci nie mogą kształcić własnych, i nic dziwnego, są to sprawy aż nadto ludzkie. Ale to powoduje, że dużo i to często — wartościowych nauczycieli emigruje ze wsi do miasta, a na ich miejsce posyła się ludzi bez szerszych, czy wyższych aspiracji, mniej zaradnych lub wręcz niewykwalifikowanych, albo zostawia się „obwód bezszkolny”, w którym zamieszkałe dzieci są wogóle pozbawione możliwością uczęszczania do szkoły. Należy więc przeciwdziałać tej emigracji nauczycieli wiejskich, ale oczywiście nie drogą rozporządzeń i utrudnień.

Praca nauczyciela wymaga entuzjazmu, którego nie da z siebie przymusowo zatrzymać pracownik. Trzeba znaleźć owe środki atrakcyjne. Środki, które usuną najbardziej zasadnicze bolączki, na jakie cierpi wiejski nauczyciel. Spośród nich — wysuwają się:

- 1) sprawa mieszkaniowa,
- 2) nieodpowiednie lokale szkolne,
- 3) brak możliwości kształcenia własnych dzieci,
- 4) trudności, a raczej uniemożliwienie dalszego własnego kształcenia się nauczyciela,
- 5) odciecie od ośrodków kultury i „szerzego świata”.

Jak wskazują liczne obserwacje i wypowiedzi nauczycieli, jedną z charakterystycznych ich zalet jest pęd do dalszego kształcenia się. Nie miejsce w tym artykule na przytaczanie licznych i często jakże wzruszających faktów uzasadniających to zresztą powszechnie znane w Polsce zjawisko.

Należy podjąć niezwłocznie starania o zorganizowanie korespondencyjnych studiów akademickich. Korzystać z nich mógłby każdy, ale dla wiejskiego nauczyciela, dla działacza oświatowego na wsi, byłoby to wspieranie możliwości zaspokojenia ambicji naukowych. Tego rodzaju formy kształcenia spotykamy już za granicą. Szczególniejszy ich rozkwit — i to właśnie w stosunku do nauczycieli — obserwujemy w Związku Radzieckim. U nas mamy już poważny dorobek w tej dziedzinie w zakresie szkoły średniej. Można i należy wypróbować te formy w stosunku do szkół wyższych. Niewątpliwie byłoby to u nas zjawisko o charakterze rewolucyjnym i jako takie napotkałoby na różne opory. Ale nie powinno to nas zrażać.

Akademickie studium korespondencyjne (A. S. K.) posiadałoby 3 zasadnicze formy pracy, a mianowicie:

- 1) 8 kursów żywego słowa, w czasie których słuchacze zaznajamiali się z metodami pracy naukowej, otrzymywaliby przydział prac i niezbędne wskazówki do samoczwania, kontrolowali swoje postępy, doskonaliliby metody zdobywania wiedzy, a wreszcie przez bezpośrednie słuchanie wykładów, udział w ćwiczeniach i seminariach wzbogaciliby zasób wiadomości rzeczowych;
- 2) systematyczne wykłady radiowe poszczególnych profesorów i ew. omawianie przez nich nadsyłanych pytań natury zasadniczej;
- 3) samodzielna praca słuchaczy na zlecenie przez profesorów okresowe tematy. Wyniki tych prac referowaliby słuchacze na piśmie i w ustalonych terminach nadsyłałaby profesorem (lub odpowiedzialnym asystentem) do oceny.

Wszystkie 3 formy uzupełniałyby się wzajemnie stanowiąc zwarty system. Warto zauważyć, że 8 kursów żywego słowa obejmowałyby łącznie ca 1100 godzin. Do tego należy doliczyć wykłady radiowe i około 36 miesięcy pracy samodzielnej, co przy rzetelnym dojrzałości umysłowej, pogłębionym przez życie zainteresowaniu przedmiotem i ochotniczym nastawieniu do pracy może — jeśli nie przewyższy — to zrównoważy 1440 godzin, które student obowiązany jest poświęcić na wykłady i ćwiczenia

w czasie normalnych 4-letnich studiów na uniwersytecie.

Zakładam możliwość dwu koncepcji organizacyjnych: 1) akademickie studium korespondencyjne stanowi odrębną uczelnię akademicką, a więc Uniwersytet Korespondencyjny i 2) A. S. K. działa w oparciu o istniejące w Polsce uniwersytety, które immatrykulują słuchaczy tego studium, przeprowadzają dla nich kolokwia i egzaminy oraz przyznają stopnie naukowe, wydają dyplomy, biorąc całkowitą odpowiedzialność za poziom i kierunek naukowy. Natomiast rekrutacja słuchaczy, czuwanie nad terminowym wykonywaniem przez nich prac, organizacja kursów żywego słowa, wykładów radiowych, ułatwienie słuchaczom zapożyczenia się w skrypty i podręczniki, udostępnienie im pracowni naukowych i dydaktycznych oraz bibliotek obarczałoby już organizator A. S. K.

Piotr Pigwa

Oczekiwanie na książkę

Przypomnijmy sobie najpierw sytuację na odcinku czytelnictwa wiejskiego w ostatnich latach przed minioną wojną. Wydatki chłopów na książki, gazety i pocztę wynosiły w skali rocznej 1.60 zł — podaje J. Curzytek („Położenie gospodarstw włościańskich w 1937/38 roku”) — charakteryzując stan z lat 1935/36. Wynika z tego, że chłopom mogli przeznaczyć „na kulturę” tyle pieniędzy w ciągu roku, ile kosztował bilet do teatru. Inni słowo mogli nabyć — jedną książkę co 12 miesięcy. W latach 1935/36 mieliśmy tylko 564 bibliotek gminnych, liczących łącznie 828.900 tomów. Na jedną książkę przypadało 33 mieszkańców wsi!

Bezpośrednio po wojnie — w latach 1945/46 sytuacja przedstawiała się jeszcze gorzej. 410 bibliotek gminnych, jedna książka na 64 mieszkańców wsi w „starej” Polsce i 260 mieszkańców na Ziemiach Odzyskanych.

A obecnie? Na progu bieżącego roku mieliśmy już prawie 3000 bibliotek gminnych (ściśle 2.913 — podaje „Rada Narodowa” Nr 1—2/49) liczących wraz z 20.000 punktów bibliotecznych — około 2.000.000 tomów. Wynika więc, że na jedną książkę wypada teraz 8 mieszkańców wsi. W trakcie realizowania planu 6-letniego stan ten ulegnie znacznej poprawie. Jeszcze w tym roku każda gmina będzie miała własną bibliotekę. W końcu roku 1955 każdy punkt biblioteczny obejmie 200 tomów, biblioteka gminna — 1.700 tomów (obecnie liczy przeciętnie 500 tomów) powiatowa 7.000—10.000 tomów.

Nowy skład społeczny Z. S. CH.

W ubiegłym miesiącu Związek Samopomocy Chłopskiej zakończył prowadzoną od kilku miesięcy akcję wyborczą do Zarządów Kół Z. S. Ch. na szczeblu gromadzkim, gminnym i powiatowym. Praktyka lat ostatnich wykazała, że do władz Z. S. Ch. na jego niższych piętrach przedostał się w dużym stopniu bogaty element chłopski, wykorzystując niejednokrotnie instytucję na własny użytek z pominięciem interesów biedoty wiejskiej. W konsekwencji pomoc państwa dla wsi, przeznaczona przede wszystkim dla małych i drobnych chłopów, którą Z. S. Ch. miał rozprzestrzeniać w formie kredytów, nawozów sztucznych, koni, bydła i maszyn, była bardzo często przechwytywana przez bogatych chłopów, wodzących na podstawie tradycyjnego autorytetu nadal rej w kołach gromadzkich, spółdzielniach i radach gminnych. Wiejskie elementy kapitalistyczne lokowały się za wszelką cenę w zarządkach gromadzkich czy gminnych jeszcze z innych względów. Wychodziły mianowicie z założenia, że będzie to najwygodniejsze miejsce, z którego łatwo będzie im torpedować każdy projekt, każdą inicjatywę i każdą robotę, poprzez którą ustrząbyłoby poprowadzić przeważające masy chłopskie ku formom gospodarki społecznej, gwarantującej drobniolnym gospodarzom i średniakom wyjście z chaotycznej i nierentownej gospodarki drobnotwarowej. Odsunięcie wrogich elementów od wpływów na niższy aparat Z. S. Ch. stało się koniecznością w imię interesów przeważającej masy

Studia obejmowałyby przedmioty dotychczasowych wydziałów matematyczno-przyrodniczego i humanistycznego naszych uniwersytetów z dodaniem historii społeczno-gospodarczej i socjologii. Czasokres studiów trwałby 4 lata i całość ich dzieliłaby się na 2 etapy dwuletnie. Pierwszy etap stanowiłby zamkniętą całość i upoważniałoby do uzyskania odpowiedniego dyplomu.

Oto w wielkim skrócie zarys koncepcji Akademickich Studiów Korespondencyjnych, którą niżej podpisani posiadają w szerszym opracowaniu. Słuchaczami A. S. K. byłby nauczyciele, urzędnicy i działacze społeczno — polityczni, oddaleni od ośrodków uniwersyteckich. Pracując na wsi i w miasteczkach przestabilny patrzeć tęsknym i nienasyconym wzrokiem na wielkie miasta, na zamknięte dla nich dotychczas podwoje uniwersytetów. Wdzięczne tu pole do działania dla organizacji polityczno — społecznych, jak

Wydział Oświatowy S. L., Samopomoc Chłopska, pełny twórczego rozmachu Z. M. P., czy Z. N. P. A raczej dla wszystkich razem.

Sprawa posiada doniosłe znaczenie i nie wolno odkładać jej załatwienia. To nie tylko zagadnienie nauczyciela i oświatowca. Zorganizowanie A. S. K. niewątpliwie zatrzyma na wsi tysiące młodych, dzielnych i pełnych dynamizmu nauczycieli, stanie się dla nich bodźcem i zachętą do pracy nad sobą, zachęci młode pokolenia chłopów do pracy samokształceniowej, do śmiałych wypraw w dziedzinie wiedzy i rzetelnej nauki. Przyspieszy to z kolei proces wyrównywania wiekowych zaległości Polskiej wsi, przyspieszy jej gruntowną przebudowę gospodarczo-ekonomiczną i świadomy współdziałanie szerokich mas chłopskich w budowie nowej, na sprawiedliwości społecznej opartej Polski.

Jeżeli zważy się, iż prasa toruje najczęściej drogę książce, zapowiada i niejako z góry wyjaśnia treść wydawanych pozycji książkowych w zakresie literatury.

Ale prawda jest również, że np. w województwie łódzkim w ciągu miesiąca działalności Komitetu Upowszechnienia Książki zdolano zwerbować zaledwie 752 prenumeratorów wydawnictw KUK, przeważnie zresztą z samej Łodzi. Tylko 2 proc. prenumeratorów stanowili chłopci.

Wiele można by wymienić przyczyn takiego stanu rzeczy. Pamiętamy wydatki na książkę w przedwojennym budżecie chłopskim. Czy wydatki te są obecnie większe, stwierdzić trudno, nie ma bowiem odpowiednich opracowań. Być może, że chłopci mogą dziś przeznaczyć więcej pieniędzy na zakup książek. Nie można jednak zapominać, że książki są w dalszym ciągu jeszcze drogie. Dopiero wydawnictwa KUK oraz książki z rozmaitych klubów czytelniczych stanowią w tym zakresie wyjątek.

Czytelnik chłopski, który decyduje się na zakup książki, nie zawsze ma dostęp do dobrej książki. W małych miastach polskich jest obecnie 1.017 sklepów księgarskich, 492 społecznych i 519 prywatnych. Liczba duża. Jeżeli przyjmuje się, że jedna księgarnia powinna obsługiwać 5—7 tys. ludzi, to u nas, na terenie małych miast, obsługuje jedną księgarnia 4,5 tys. ludzi. Stosunek pozornie korzystny. Pozornie dlatego, że przeszło połowa to typowe drobne sklepiki. Jesienią — trochę szkolnych podręczników, w roku — kilkadziesiąt wątpliwych literacko i ideologicznie wydawnictw, nie odpowiadających zupełnie potrzebom społecznym chłopskiego czytelnika. Słynne sklepiki, handlujące raczej stalówkami i papeterią niż sprzedające wartościowe książki. W zakresie upowszechnienia kultury pozycje martwe, jeżeli wręcz nie szkodliwe. Bardzo często tego rodzaju „księgarnie” odstraszają wiejskiego czytelnika od książki.

Na tym tle funkcja społeczna bibliotek gminnych, ich szczególnie doniosła rola w upowszechnieniu czytelnictwa występuje szczególnie żywo. Gminna biblioteka jest przede wszystkim — jak to się mówi — „na miejscu”. Gwarantuje, na ile jest to dzisiaj możliwe — książki odpowiadające potrzebom czytelnika wiejskiego. Zestaw książek dokonuje się przeciw planowo.

Czytelnik wiejski jest zróżnicowany. Np. ludowy nauczyciel pragnie się dokształcać. Oddalony często od miejskich ośrodków kulturalnych, przede wszystkim w gminnej bibliotece będzie szukał materiałów podbudowujących intelektualnie jego pracę. Podobnie każdy wiejski działacz społeczno-oświatowy, czy polityczny. Tysiące chłopskiej młodzieży, uczącej się korespondencyjnie w średnich szkołach ogólnokształcących odwoła się do gminnej biblioteki po lekturę szkolną. Masy chłopskie sięgają tam po literaturę piękną i fachowo-rolniczą.

Jeżeli zakładamy, że w akcji upowszechniania kultury chodzi nam o wyprodukowanie nowej inteligencji ludowej, wiązanie jej i poprzez książkę z przebudową ustroju społeczno-gospodarczego i kulturalnego kraju, to musimy uwzględnić pierwszorzędną rolę bibliotek gminnych w realizacji tego zadania.

M. K.

JAKIE SĄ FUNKCJE PAPIESTWA?

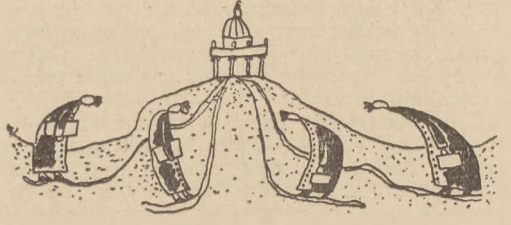
Otrzymałmy od jednego z naszych czytelników artykuł, który poniżej w całości zamieszczamy.

Red.

Ks. Jan Piwowarczyk zamieścił w Nr. 10 (208) „Tygodnika Powszechnego” artykuł pt. „Funkcje papieżstwa”. Píše w nim między innymi:

„Urząd papieża jest trudny w normalnych czasach. Stokroć trudniejszym jest w okresie przełomu, jaki nam dano przeżywać w czasie wojny, i po wojnie. Pius XII pełni go z wielkim poczuciem odpowiedzialności za losy Kościoła... Mimo późnego wieku, codziennie przemawia do licznych osób przybywających z całego świata i nie tylko do katolików. Korzysta z każdej okazji, która się najeżdża, by bezpośrednio — przez radio — zachęcać, upominać lub pouczać narody oddzielone od Rzymu morzami lub kontynentami.

Żyje w nim świadomość wielkiej funkcji papieżstwa w świecie i w historii”.



Po tym wstępie określa funkcje papieżstwa.

Oto pierwsza:

„Pierwsza z nich — stwierdza — jest funkcja strażnika wiary. Troska o nieskażenie boskiego depozytu Objawienia”.

A oto druga:

„Mówi się także o kulturalnej funkcji papieżstwa. I wymienia się cały szereg jego zasług z dziedziny kultury, jak zasługi na polu sztuki, na polu ratowania antyku, rozwoju nauki itp. Ale nie to stanowi właściwą funkcję papieżstwa w zakresie kultury. Stanowi ją kształtowanie kultury moralnej. Kościół a wraz z nim papieżstwo — jest nie tylko na to, by tworzyć ład w naszych umysłach — ład prawdy, ale także na to, by tworzyć ład w naszych obyczajach — ład moralny”.

To mówi ks. Piwowarczyk.

W 1947 roku wyszła w Londynie książka Arno Manhattana pt. „The Catholic Church Against the Twentieth Century” czyli „Kościół katolicki wobec XX wieku”.

Autor książki kreśli jednak inny obraz Watykanu. Mówi w niej, że Watykan stanowi centrum — ale polityczne, które miało 52 przedstawicieli dyplomatycznych w postaci nuncjuszów, posłów, osobistych przedstawicieli Ojca św. itd. — w różnych krajach. I obyt to byli tylko przedstawiciele dyplomatyczni! „Ponieważ każdy duchowny — stwierdza Manhattan — jest faktycznym agentem Watykanu i posiada możliwości zbierania autentycznych wiadomości o warunkach życia w swojej parafii (bądź, jeśli jest biskupem, w swojej diecezji), tak więc Watykan, do którego wysła się te wszystkie informacje, staje się jednym z najlepszych ośrodków — na świecie — informacji o charakterze ekonomicznym, społecznym i politycznym”.

A czy ks. Piwowarczyk zaprzeczy tym faktom?!

Pomyślałby jednak ktoś, być może — kontynuuje Manhattan — że Watykan rozbudował ten cały wielki i rozwidlony aparat polityczny rzeczywiście dla dobra społeczeństwa, albo ludzkości, albo mas pracujących, albo demokracji.

„Po przewrocie faszystowskim we Włoszech w 1922 roku — píše Manhattan — polityka Watykanu nabierała coraz to bardziej określonego charakteru, a jego związek z siłami reakcyjnymi stawał się coraz bardziej oczywistym. Prawie w całej Europie — od Hiszpanii do Austrii, od Włoch do Polski — do władzy dochodziły reakcyjne dyktatury, nader często przy jawnym poparciu Watykanu. Porzuciwszy stare metody Watykan zaszedł tak daleko, że nakazywał rozwiązywanie jednej partii katolickiej za drugą, tylko z tego względu, by umożliwić faszystom — naprzód we Włoszech, później w Niemczech — utrwalenie władzy. Papież Pius XI mówił niejednokrotnie, że pierwszy faszystowski dyktator (Mussolini) był „człowiekiem zesłanym przez opatrzność”. Ostrzegając wszystkich wiernych na całym świecie, że „żaden wierny katolik nie może być socjalistą” wydał encyklikę, w której proponował wszystkim krajom katolickim tworzyć faszystowskie państwa korporacyjne. Gdy państwa faszystowskie rozpoczęły agresję, Kościół katolicki okazał im pośrednią, a częściej bezpośrednią pomoc.

Gdzie indziej Manhattan píše, że w tym samym czasie, gdy Watykan obdarzał sympatią ruchy faszystowskie wszelkich autoramentów — równocześnie całą swą nienawiść skierował przeciwko ZSRR.

„Od samego początku rewolucji rosyjskiej (1917 r.) — stwierdza Manhattan — Watykan dążył do jednego zasadniczego celu: skupienia wszystkich reakcyjnych sił i krajów w trwały blok przeciwko Związkowi Radzieckiemu. Jedną z zasadniczych przyczyn poparcia, jakim Watykan darzył Hitlera, było dążenie do stworzenia silnego, wrogo Związkowi Radzieckiemu państwa,

które mogłoby być czymś w rodzaju muru chińskiego, tamującego przenikanie rosyjskiego bolszewizmu na Zachód. Watykan miał także nadzieję, że to państwo koniec końców zdoła zniszczyć Związek Radziecki.

W 1936 r. Kościół katolicki rozpoczął „święty pochód krzyżowy” przeciwko bolszewizmowi. By zapewnić sukcesy tej kampanii, potrzebna mu była pomoc faszystów i nazistów, które nienawidziły komunizmu z taką samą siłą jak on”.

Na odtarzu tej nienawiści złożył także Polskę. Ale zrobił to już papież Pius XII, który zasiadł na tronie watykańskim po śmierci Piusa XI i którego rocznicę święci w swym artykule ks. Piwowarczyk. Otóż Pius XII — stwierdza Manhattan — był dokładnie poinformowany o zamierzonej przez Hitlera agresji na Polskę. Ale „Hitler prosił papieża — píše Manhattan — po pierwsze, nie potępiać publicznie tej agresji, po wtóre, nie podburzać katolików w Polsce do oporu wobec hitlerowców, a na odwrót, zjednoczyć ich w „świętej wyprawie” przeciwko Związkowi Radzieckiemu.

Papież wypełnił prośbę Hitlera. Ale Pius XII nie poprzestął tylko na prostym wypełnieniu prośby Hitlera. Po klęsce wrześniowej przedsięwziął kroki dyplomatyczne, by Francja zawarła separatystyczny pokój z Niemcami. Tych kroków nie zaprzestanie przez cały okres wojny. Po upadku Francji — zwrócił się z analogicznymi propozycjami do Stanów Zjednoczonych. Przez cały okres wojny — jak dowodzi Manhattan — prowadził politykę na rzecz zawarcia separatystycznego pokoju z Niemcami. Po wojnie zawarł przyjaźń z Waszyngtonem. „Watykan i Stany Zjednoczone — píše Manhattan — związane są wspólnymi interesami w różnych wewnętrznych i zewnętrznych dziedzinach. Kościół katolicki występuje zdecydowanie przeciwko zasadom społecznej i politycznej demokracji. Cała polityka Kościoła katolickiego od początku XX wieku była skierowana na to, by za pomocą związków z różnymi ruchami reakcyjnymi przeszkadzać swobodnemu rozwojowi narodów. Stąd jego bezpośredni i pośredni wpływ na życie polityczne Europy i poparcie udzielane przezeń dyktatorom faszystowskim. Ta polityka uczyniła współpracę amerykańsko-katolicką niezwykle bliską”.

Taki jest obraz Watykanu, kreślony przez Manhattana:

Obrazy kreślone przez ks. Piwowarczyka i Manhattana są z sobą całkowicie niezgodne. Pierwszy umieszcza Watykan tylko na idealistycznej płaszczyźnie wiary i sumienia. Drugi ustawia go w konkretnej sytuacji społeczno-historycznej. A obraz przezeń kreślony jest tym bardziej przekonujący, że przeciwko papieżstwu — jak świadczy historia — nader często ingerowało w sprawy polityczne, i to nie tylko w charakterze obrońcy wiary, ale po prostu — konkurenta albo partnera politycznego. Jak zaś pokazało wielu historyków papieżstwa, Watykan nie był wcale tak dziewiczo czysty w dziedzinie moralności — jakim by chciał go zrobić ksiądz Piwowarczyk.

Ciekawi mnie więc dlaczego ksiądz Piwowarczyk te strony papieżstwa pomija milczeniem? Dlaczego nie włącza w swoje rozważania zarzutów stawianych Watykanowi z różnych stron (w konkretnym wypadku przez angielskiego pisarza, Manhattana).

K. Z.

(nazwisko znane redakcji).

My ze swej strony przypuszczamy, że ks. Piwowarczyk udzieli odpowiedzi. (Red.)

OŚWIADCZENIE

W n-rze 7 „Wsi” z dn. 13 lutego br. pojawił się artykuł pt. „W sprawie kanonizacji ks. Stojałowskiego” podpisany przez ob. Józefa Choczyńskiego, w którym to artykule ob. Choczyński zarzucił mi między innymi, że: 1) „moja rola w PPS musiała być mocno zakonspirowana i tajemnicza” (z czasów przed i wojną światową), 2) że w r. 1913, jako „chrześcijańsko-narodowy związkowiec biegałem po wsiach z listem pasterskim biskupów gromniącym radykalizm społeczny i dopomagałem endeckom do zwycięstwa w kurialnych(?) wyborach”, 3) że byłem niegdyś endekiem, bo mi „endecy niewiele dawali”.

W odpowiedzi na te nieprawdziwe zarzuty wyjaśniam co następuje:

1) Że moja rola w PPS nie była tajemnicza ani zakonspirowana, świadczy list Naczelnego Redaktora organu PPS „Prawa Ludu”, Z. Klemensiewicza, wystosowany do mnie dnia 28.3.1918 r., a dziękujący mi za nadesłany artykuł z prośbą o dalsze. (Legalizowany duplikat listu znajduje się w redakcji „Wsi”). Artykuł ten był podpisany moim pełnym imieniem i nazwiskiem.

2) W latach 1912—1913 służyłem w wojsku austriackim w Czechach w tzw. „Kampanii Bośniackiej”, późną jesienią

Tygodnik „Dziś i Jutro” drukuje ostatnio cały szereg artykułów rewidujących wiele mniemań o społecznych konsekwencjach, a wynikających ze światopoglądu katolickiego. W pełni doceniając te niewątpliwie pozytywne objawy (rewizja bowiem poglądów zmierza ku dyskredytacji tendencji zgola wstecznych) nie możemy jednak powstrzymać się od całego szeregu krytycznych uwag. Dotyczy to w całej rozciągłości artykułu Wojciecha Kętrzyńskiego „U źródeł społecznych konfliktów” zamieszczonego właśnie w „Dziś i Jutro”. Niewątpliwie zawarta w nim polemika ze Stefanem Michno, broniącym w rezultacie zasady zgodności społecznej wszystkich klas, jest trafna i bardzo słuszna, niewątpliwie też funkcja społeczna wypowiedzi Kętrzyńskiego stanowi moment pozytywny, ale... I tu zaczynają się liczne „ale”.

Przede wszystkim: Kętrzyński dzieli wszelkie ideologie na postępowe i konserwatywne, przy czym za wyróżnik rozgraniczenia nie służy tu nigdy ich rola socjalna. Konserwatyzm ma się rzekomo wyrażać po prostu w „nadmiernym przywiązaniu do form życia istniejących, do status quo, co pociąga za sobą gotowość do walczenia przeciw wszelakim zmianom, które przynoszą korzyści ogółowi, a nie wyłącznie jednostce, czy grupie jednostek zainteresowanych”. Od razu pytanie... O jakie formy życia („Lebensformen” jak mawiał znany idealistyczny teoretyk kultury Edward Spranger) rzecz idzie? Czy postępowość to negacja ich wszystkich, czy też części tylko? Nie wiemy i, jeśli pan Kętrzyński nas bliżej nie objaśni, wiedzieć nie będziemy.

Znów nasuwa się nieprzyjemna refleksja. Przecież faszizm w ramach tej definicji nie jest światopoglądem wstecznym. Chciał przecież zburzyć status quo ante, nie miał napewno „nadmiernego przywiązania do form życia istniejących”. Przeciwnie, zapowiadał wielką przebudowę, rekonstrukcję świata od podstaw. Tak to jakoś niewyraźnie z kryteriami pana Kętrzyńskiego, bardzo niewyraźnie...

Ale oto sprawy zaczynają się nieco przejaśniać. Okazuje się, że teoriiopoznawczym odpowiednikiem konserwatyizmu jest filozofia humanistycznego sceptycyzmu (czemu nie sceptycznego humanizmu? można przecież i

tak i tak)... Na koniec przekonujemy się, iż pod tym pięknym terminem kryć ma się przeświadczenie o „złej” naturze ludzkiej, wobec czego przeświadczenie o jednostkach tworzących w samotności kulturę, o elicie, która jej broni przeciw nacierającym masom barbarzyńców.

A więc po prostu estetyczne teoryjki secesji. I to niby miał głosić każdy konserwatyizm, zawsze, wszędzie? I to niby ma stanowić jego „istotę”? Przecież zajmujemy się historią a nie badaniem jakichś ponadczasowych typów postaw duchowych poszczególnych ludzi. Chyba nie będziemy tu raz jeszcze wyprowadzać, w ślad choćby za Arturem Koestlerem, analogii między jogą hinduskim, a komunistycznym komisarzem? Wsteczność pewnej ideologii zawarta jest bowiem nie tylko w jej filozofii, w jej teoriopoznawczych założeniach, lecz także w funkcji, którą te w danym konkretnym społeczeństwie pełnią. Temu zaś pan Kętrzyński zdaje się swym artykułem uparcie przeczyć.

Nie tylko „humanistyczny sceptycyzm” (dlaczego niby humanistyczny? wiecie to chyba tylko pan Kętrzyński i jego spowiednik) reprezentował konserwatyzm i nie zawsze zresztą był on tak koniecznie wsteczny.

Oczywiście dla kogoś badającego historię z „wyżyn ponadczasowych” sprawy te mogą przedstawiać się w taki właśnie sposób. Ale czy znowu trzeba tak odrazu, tak na gwałt rozważać wszystko sub speciae aeternitatis... I czy ostatecznie najnowszą rzekomo postawą konserwatyizmu stał się rzeczywisty kult pieniądza?

Faszizm nie mówił o kulcie pieniądza. A przecież nie można chyba powiedzieć i, jak sądził, pan Kętrzyński nie miał tego w żadnym wypadku na myśli, by Hitler i Mussolini stanowili czolowe postacie postępowych ruchów społecznych.

Artykuł Wojciecha Kętrzyńskiego czytałem wraz z pewnym znajomym, który po skończeniu go, złożył z przerażeniem ręce i zawołał na cały głos: (a był to katolik, proszę państwa): „ach, Boże, jak tu laurowo i ciemno!”.

Jerzy Cios

Niechęć do proletariusz

Mój obrachunek literacki pt. „Klasową drogą” zamieszczony w N-rze 6 „Wsi” odbił się już pewnym echem. Jedno maleńkie, zaklamowane nawiasami zdanie w zdaniu ukłuło boleśnie kol. Jana Baranowicza, że odciął się niemal 60 wierszami w 7 numerze „Odry”. Kol. Baranowicza ukłuło zarówno to, że nazwałem go „pseudokrytykiem”, jak również fakt, że przypomniałem mu o „specjalnym podcięciu mi nóg”. Píše więc między innymi: „Pogan tak długo nosił w sobie urazę do mnie, aż znalazł okazję, żeby siebie zrekłmować, a mnie łupnąć kłonicą”. A dalej znów: „...mój antagonistą insynuując mi wypowiedzi, których nie umiem znaleźć ani w mej pamięci, ani w charakterze...”

Mnie to wcale nie obchodzi, że kolega J. Baranowicz zapominał o wypowiedzianej pogroźce „podcięciu mi nóg”, czy też o sugerowaniu mi w swej recenzji mego „psychicznego urazu do bogaczy”. Przypominam więc, iż kolega Baranowicz zapowiedział mi po parę razy to „podcięcie nóg”, a nie znalazłszy widocznie innego sposobu — zarzucił mi choć



ów „uraz psychiczny do bogaczy”. Dla porządku przytaczam więc ową wzmiankę z recenzji w „Odrze” z dnia 8 czerwca 1947 r. „...autor (tj. Pogan) cierpi na pewien uraz psychiczny — palącą niechęć do proletariusza w ręk do bogaczy. Stąd te niektóre przesadne — rzekłbym — porachunkowe ustępy książki...”

Wszystcy ci, co przeczytali „Ugory”, zaprzeczają słowom kolegi Baranowicza. Chodzi jednak o tych, co nie czytali „Ugorów”, a natomiast przeczytali ów ustęp w „Odrze”. Doszli zapewne do przekonania, że pisarz z klasy biedniackiej specjalnie mścił się na bogaczach — bicząc ich niewinnie... że nie ma sumiennej, obiektywnej twórczości itd. I co gorza — iż może specjalnie jest przez odpowiedzialnie czynniki do smagania bogaczy „podstawiony”...

Uważam, że autor nie powinien odpowiadać na złośliwe docinki krytyka. Ale gdy miałem możliwość wypowiedzenia się, tom rzekł to i owo. I bynajmniej nie we własnej obronie, a tylko w obronie prawdy, „świętej racji” — jak się to mówi. Niestety, kol. Baranowicz uważa to za zemstę z mej strony. Jeśli lekki „cios” za silne i niesłuszne kropniecie można nazwać zemstą — jak twierdzi Baranowicz — to czym można nazwać podwójną jego napastliwą wypowiedź? To już — powtarzając za Baranowiczem — naprawdę należy do złych cech charakteru niechętnych wobec proletariusza.

Józef Pogan

Jest jeszcze do nabycia pewna ilość roczników „Wsi”

ZA ROK 1947 I 1948

CENA ROCZNIKA W OPRAWIE WYNOŚI 1500 ZŁ.

Zgłoszenia prosimy kierować na adres: Administracja tyg. „Wies”, Łódź, Piotrkowska 133. Wysyła za zaliczeniem pocztowym, można także wpłacać na konto PKO: Łódź VII 1080, Redakcja Tyg. „Wies” z zaznaczeniem „za rocznik „Wsi” rok 1947 ew. 1948”.

ADMINISTRACJA TYG. „WIES”

Z poważaniem
Maciej Czula

Sami nie możemy sobie poradzić

Potulice, dnia 28.2.49 r.

Do
Redakcji tyg. „Wieś”
Łódź

Z okazji zjednoczenia się dwóch partii PPR i PPS górnicy Zabrze-Wschód побudzili nas do wyścigu pracy. Górnicy postanowili, że w swoich kopalniach wykopią więcej węgla niż dotąd.

Pierwsza szkoła w Płaskowie wzięła wzór z górników. My postanowiliśmy sobie, że też uczymy ten dzień.

Staliśmy do wyścigu ze szkołą w Runowie w pracach ręcznych. Zbieramy szyszki nasienne. Zbieraliśmy kasztany i żołędzie. Zbieramy szyszki, czy jest pogoda, czy jest zimno. My jesteśmy podzieleni na poszczególne grupy i prowadzimy wyścigi, która grupa najwięcej zbierze. Oto są wyniki naszej pracy: szyszek zebraliśmy 2.000 kg, kasztanów 250 kg, żołędzi — 500 kg. Czysty zysk przeznaczony jest na potrzeby szkoły. Zbieramy dużo szyszek, bo nasza szkoła została zniszczona przez okupanta.

Zdejmowaliśmy starą polepę z obory i objaliśmy plot naokoło boiska szkolnego. Wszystko robimy, co tylko się da. W naszej szkole oberwał się gzyms i nie było komu go naprawić, zgodziliśmy jednego murarza i posłaliśmy mu wzamian za jego pracę wybrać kartofle. Staramy się, żeby nasza szkoła nie była gorsza od innych szkół. Inne szkoły, np. w Tarnowie, Rudniczu, Runowie są piękne.

Nie mamy porządných ławek i ciągle nam coś potrzeba. Nasza gromada stara się też o szkołę. Rodzice nasi pracowali do późna w noc przy rozbieraniu obory i budynku szkolnego.

Staramy się o naszą bibliotekę szkolną. Ale sami nie możemy sobie poradzić. Książki są takie drogie. Za nasze składki kupiliśmy tylko kilka nowulek. Może i Redakcja coś by uczyniła. My chcemy czytać dużo książek. Może Redakcja by nam przysłała kilka książek, bardzo o to prosimy. Z wdzięcznością będziemy Szanowną Redakcję wspominać. My nie mamy wiele książek do lektury. Tylko gdzieś, ktoś stare książki przyniesie z domu i z tego korzystamy, bo na nowe nie mamy gotówki. Nam przykró, że nie mamy dosyć książek i co mamy robić?

Nasi rodzice są biedni i nie mogą kupić. W imieniu klasy siódmej życzą Redakcji dalszego rozwoju.

Kaczmarek Halina
Potulice, p-ta Brzeźno Nowe,
pow. Wągrowiec

Amerykańska wolność handlu

Politycy waszyngtońscy nazywają Stany Zjednoczone krajem wolności handlu. Handel jest — ale wolność? Trzeba raczej mówić o stosowanej przez Stany Zjednoczone dyskryminacji w zakresie handlu. Głosząc zasadę wolności handlu Stany Zjednoczone stosują różnorakie, nader perfidne ograniczenia w stosunkach handlowych z krajami Europy Wschodniej. I przymuszają do prowadzenia tego rodzaju polityki swych satelitów w Europie Zachodniej. Czechosłowacki minister spraw zagranicznych Clementis oświadczył, że rząd Stanów Zjednoczonych odrzucił kolosalną większość podań firm amerykańskich o licencję na eksport towarów amerykańskich do Czechosłowacji. Przerwano nawet wykonywanie już opłaconych zamówień. Dalej: Rząd Stanów Zjednoczonych nie dopuścił, by Polska zakupiła potrzebne jej towary, jak bawełnę, kondensatory, aparaturę radiową itd. Dalej: Nie dopuścił do eksportu urządzeń naftowych do Rumunii i na Węgry. Z inicjatywy Stanów Zjednoczonych utworzono w r. 1948 angielsko-amerykański komitet kontroli eksportu do krajów Europy Wschodniej.

Cel tej polityki gospodarczej jest tak samo jasny, jak nie podlega już wątpliwości cała imperialistyczna polityka Stanów Zjednoczonych.

Jedno jest jednak ciekawe. Mimo tych wszystkich zakazów eksportowych rozwój gospodarczy ZSRR i krajów demokracji ludowej — jak to przynajmniej z bólem serca nawet burżuazyjni ekonomiści — odbywa się znacznie szybciej niż w krajach kapitalistycznych. Podczas gdy w ZSRR i krajach demokracji ludowej wykres produkcji i stopy życiowej ludności stale się podnosi — tam wykres też się podnosi — ale wstrząsających trudności gospodarczych i nieuchronnie nadciągającego kryzysu.

N. N.

Wiara w równość

Jeden z artykułów „Karty Narodów Zjednoczonych” zawiera zobowiązanie do „zakcentowania... wiary w podstawowe prawa człowieka i w równość między kobietą a mężczyzną”. W 10 numerze „Zielonego Sztandaru” Zofia Tomczyk wykazuje, jak wyglą-

FAKTY i ZDANIA

da „równość” między kobietą a mężczyzną w krajach kapitalistycznych.

Okazuje się, że „w Stanach Zjednoczonych zarobki kobiet od mężczyzn są niższe od 15 proc. do 20 proc. W Anglii płaca kobiet jest o 50—55 proc. niższa od płacy mężczyzn. W Belgii kobiety otrzymują 80 proc. płacy mężczyzn za tę samą pracę. W Szwajcarii płaca robotnicy wynosi 69 proc. płacy robotnika, a pensja urzędniczek 50 proc. pensji urzędniczki. W Norwegii płaca kobiety wynosi dwie trzecie płacy mężczyzny. We Francji różnica ta waha się ok. 8 proc. We Włoszech kobiety za pracę otrzymują np. w branży tekstylnej 81 proc. W Sardynii i Sycylii — 55 proc. W Turcji 92 proc. kobiet jest dotychczas analfabekami” (podkreślenie nasze).

Pięknie pokłosie wiary w podstawowe prawa człowieka i w równość między kobietą a mężczyzną! Jeśli dodamy do tego jeszcze ograniczenia praw obywatelskich kobiet w państwach kapitalistycznych, wówczas stanie się zrozumiałe, dlaczego w przeciagu czterech lat istnienia Światowa Demokratyczna Federacja Kobiet potrafiła skupić w swoich szeregach w walce o pokój i prawa dla kobiet organizacje kobiece z 52 krajów całego świata!

t. p.

Przekrojowy nonsens



Są nonsensy paradoksalne i paradoksy nonsensowne. Zbigniew Rogowski w 204 numerze „Przekroju” — łączący i miesza obydwa. I co wynika? Absurdite pure. Nonsens bez żadnych przymiotników. Całkowity. Otóż na bez mała kolumnie przekazuje Rogowski czytelnikowi opowiadanie jakiegoś aresztowanego hitlerowca, który jakoby wywiózł Hitlera i Ewę Braun z obłożonego Berlina. Opowiadanie jest pełne szczegółów. Jak to Ewa Braun zapomniała futra, jak to samolot znalazł się pod ostrzałem artyleryjskim itd. itd. Niczym w kryminalnej powieści — tym ciekawszej, że autentycznej. Ale niestety. Pod koniec opowieści czytelnik dowiaduje się, że „w rzeczywistości śmierć Hitlera jest faktem niewątpliwym. Wersja o jego ucieczce z Berlina, a zwłaszcza skutecznym ukrywaniu się przez tyle lat — jest kompletnym nonsensem. Nie przeszkadza to jednak hitlerowcom tworzyć coraz to nowe mity dokoła osoby mimo wszystko żyjącego Hitlera”. Można jeszcze zrozumieć, dlaczego hitlerowcy tworzą plotkę o żyjącym Hitlerze — ale o wiele trudniej zrozumieć, dlaczego niektórzy polscy dziennikarze tymi plotkami zapełniają szpalty polskich pism. O ile „mit o żyjącym Hitlerze” jest nonsensem — to czym jest ten nonsens zamieszczony w polskim piśmie? Kogo zaś interesuje? Może by na to pytanie odpowiedział autor artykułu o żyjącym-nieżyjącym Hitlerze. Bo nam się wydaje, że tylko kulturowi.

N. N.

„Mała przepierka”



Szanowny p. Redaktorze!

W 10 numerze „Przyjaciółki” zwrócił moją uwagę artykuł pt.: „Mała przepierka”. Autorka (nie przypuszczam, aby coś podobnego mógł napisać mężczyzna) wyjaśnia najpierw, jak prac bluzeczki, koszule dla męża, ponczochoy, skarpety, chusteczki do nosa i kończy w ten sposób: „Robota pojździe nam łatwo i szybko, jeśli pomożecie nam — małż. To znaczy: rozpalili ogień, postawili na płycie ciężki garnek z wodą, będzie wyłewał z miski brudną wodę i nalewał ciepłą, wycisnie z wody uprane już sztuki, wreszcie — jeżeli nie ma ruchomego stojaka — suszarki — rozciągnie sznurek do zawieszenia upranych rzeczy”...

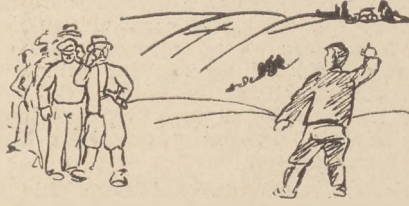
No a jak nie ma odpowiedniego sznurka? Czy wtedy obwieszają się męża bielizną i wystawiają na słońce? Chodzi mi jednak o sprawę daleko poważniejszą. Kobieta w ustroju

socjalistycznym to przecież nie przysłowiowa kura domestica, zajęta od rana do nocy przy kuchni i nad balią, wciągająca co gorsza w te zajęcia i mężczyzn. Z racji Międzynarodowego Dnia Kobiet pisano wiele o nowym typie kobiet, czynnych w życiu społecznym — politycznym. Czy będzie nią kobieta urobiona przez „Przyjaciółkę”? Chyba nie. Jak nazwać pismo, które czyta podobno 1.200.000 kobiet, które zachęca te kobiety do pozostania w kręgu kuchni i wzywa je do angażowania mężczyzn w „małej przepierce”? Przyjaciółka? Nie — nieprzyjaciółka. I kobiet i mężczyzn.

P. S. Przecież są pralnie.

al.

Chcę podkreślić silnie



Szanowny Redaktorze!
Z uwagą i ciekawością śledzę we „Wsi” artykuły mówiące o przebudowie gospodarki rolnej w Polsce. Ale mija już prawie miesiąc od chwili uchwały Komitetu Ekonomicznego Rady Ministrów o powołaniu do życia nowego przedsiębiorstwa pod nazwą „Państwowe Gospodarstwo Rolne”, a Wy nic o tym nie napisaliście. Dotychczas majątki ziemskie należące do państwa administrowane były przez trzy instytucje: Państwowe Nieruchomości Ziemskie, Państwowe Zakłady Hodowli Roslin i Państwowe Zakłady Chowu Koni. Przez połączenie tych trzech instytucji w jedno „Państwowe Gospodarstwo Rolne” nie tylko zaoszczędzi państwo na wydatkach (zmniejszą się koszty administracyjne chociażby, nie mówiąc już o kosztach produkcji), ale zyska poważny instrument w walce z wrogami klasowymi na ws.

Pomyślcie, Redaktorze, w różnych częściach Polski powstają teraz wzorowe socjalistyczne gospodarstwa rolne. Nie chcę Wam w tej chwili pisać o produkcji tych gospodarstw, o zadaniach dostarczania wsi rasowego inwentarza oraz selekcjonowanych, kwalifikowanych nasion różnych roślin, o zadaniach zespolonych gospodarstw państwowych, jako producentów artykułów żywnościowych dla robotników z miast. Chcę podkreślić silnie inny, niemniej istotny moment.

Państwowe Gospodarstwa Rolne przekonują często nie niechętnych, lecz nieświadomych chłopów o wyższości gospodarki socjalistycznej nad indywidualną. Przekonują tak, jak obecnie przekonują się chłopci powracający z wycieczek do ZSRR. Państwowe Gospodarstwa Rolne staną się praktycznymi szkołami gospodarki socjalistycznej i odegrają dużą rolę w okresie przebudowy ustroju rolnego w Polsce.

A. Kwiecień
pow. stopnicki

5 marzec 1949 r.

Budujemy gminę!



Gmina Rudnik nie jest w tyle, jeżeli chodzi o pracę ZSCH. Wprawdzie w pierwszych latach, to jest 1945—46 roku, kiedy do innych gmin docierała odpowiednia wiedza o znaczeniu ZSCH, gmina Rudnik, leżąca na samym krańcu pow. wieluńskiego nie była należycie obsłużona przez ludzi znających się „na rzeczy”. Lecz po trzech latach ściśle współpracy z zarządem pow. ZSCH, doprowadziliśmy do pomyślnego rozwoju. Obecnie mamy już 10 kół gromadzkich ZSCH, o ogólnej liczbie 780 członków. Nowo-wybrane zarządy gromadzkie wraz z zarządem gminnym obmyślają możliwości zbierania kamieni po polach (od których się aż bieli). Kamienie wzieziemy w najgorsze punkty drogi i dokonamy reperacji. Planujemy założenie Gminnej Spółdzielni Samopomocy Chłopskiej z siedzibą w Jawornie, z dwiema filiami w Rudnikach i Zytynowie (nie wyłączając założeń w myśl planu dwóch dalszych filii we wsiach typowanych jako wzorowe). Nie od rzeczy będzie wspomnieć o powstaniu trzech kół gospodyń wiejskich z ogólną liczbą 75 członkin.

Zarząd gm. ZSCH. skierował na kurację do uzdrowisk pięciu członków ZSCH. Troszcząc

się o zdrowie chłopów skierował na kurs sanitarny jedną z członkin kół gospodyń wiejskich. Dwóch młodych chłopów wysłaliśmy na kurs traktorzystów i jednego na kurs szkoleniowy Ośrodka Maszynowego. Rudniki, 2.3.49.

Kasprzak Piotr

Raj neutracony



W numerze 10 tyg. „Dziś i Jutro” zamieścił p. Józef Derewieński artykuł pt. „W cieniu katolickiej kultury”. Czytamy w nim: „W oglądzie rzeczywistości ucieka się od zmysłowego konkretnego do czystej abstrakcji, rezygnuje się z jakościowego pojmowania świata i życia, na korzyść pozazmysłowej konstrukcji z najpierwotniejszych, zasadniczych elementów. Dzieje się to nie tylko w dziedzinie wiedzy ścisłej, Sztuka wszelkiego rodzaju, będąca swoistym odbiciem rzeczywistości w kategoriach piękna, obyczajów, które są formą dostosowania się do niej w życiu praktycznym, słowem, wszystko co składa się na kulturę człowieka, nosi na sobie piętno abstrakcjonizmu”.

I to tak ma się dziać — wg Autora — z kulturą dzisiaj. Czyżby? Miał chyba rację Stefan Żółkiewski, kiedy mówił o pisarzach katolickich: „...Mówią o świecie tyle, ile pozwala agnostycyzm psychologiczny i naturalistyczny... Powieści te (katolickie) ukazują tuman mgły a nie obraz świata. Stwierdził to każdy czytelnik, który wprost nie potrafił nawet umiejscowić w czasie akcji tych książek. Dzieją się one nigdy i nigdzie!”

Akurat tak samo z artykułem p. Derewieńskiego. Jego rozważania o trzech chorobach katolicyzmu — fideizm, tradycjonalizm i sentymentalizm uciekają naprawdę od rzeczywistości historycznej w rajską dziedzinę abstrakcji, gdzie wszystko jest możliwe, nawet abstrakcyjna kultura.

„Zawsze pełniej odczuwa się wartość rzeczy posiadanej, gdy się ją utraci, ale nie zawsze ma to dobre skutki, bo nie zawsze da się odrobić straty” — pisze pan Derewieński. I ma zapewne na myśli samego siebie. Nie łatwo mu bowiem teraz będzie wrócić do pojęcia kultury jako wartości historycznej, związanej zawsze z konkretną epoką.

I. S.

SPROSTOWANIE

W moim artykule pt. „Wrocław, Wrocław, Wrocław” („Wieś” Nr 8/49) popełniłem kilka omyłek. Zwróciła mi na nie uwagę p. Irena Turnau, autorka pracy socjograficznej o Wrocławiu, pracy — na której w głównej mierze opierałem się. Błędy te niniejszym prostuję. Są to:

1. Bierni zawodowo mieszkańcy miasta Wrocławia nie stanowią 0,9% ogółu ludności, chociażby z tego powodu, iż już w roku 1947 dzieci poniżej lat 14 obejmowały ok. 12% mieszkańców. Liczbę 0,9% biernych zawodowo należy zatem odnieść wyłącznie do dorosłych.

2. Zreformowane przeze mnie pochodzenie regionalne mieszkańców miasta Wrocławia może mieć wartość jedynie orientacyjną, porównawczą. Zagadnienie pochodzenia regionalnego mieszkańców miasta Wrocławia przedstawił szczegółowo Stefan Gołachowski w artykule „Miasto przemian społecznych” („Wieś” nr 43/48).

3. Obraz emigracji z niektórych województw ze względu na pochodzenie mieszkańców Wrocławia z różnych typów osiedli przedstawiał się w przybliżeniu w sposób podany w tabelce w końcu roku 1947 a nie w końcu roku 1945.

4. Termin „miasteczko” w nagłówku tej tabeli użyty w odniesieniu do miast liczących poniżej 100.000 mieszkańców powinien być wyjaśniony. Chodzi tu o średnie i małe miasta.

5. Danych o inteligencji wrocławskiej nie brałem z pracy p. Ireny Turnau. Podana cyfra 1,2% ogółu odnosi się do tzw. wolnych zawodów.

Wiesław Jażdżyński

W NUMERZE 11 (190) TYGODNIKA „WIEŚ” z dnia 13 marca 1949 r.

Ladislav Stoll — Sztuka wobec rzeczywistości; Tadeusz Orlewicz — Droga Czechosłowacji; Józef Choczynski — Teatr na trybunie sejmu galicyjskiego; Bedrich Vaclavek — Czeska poezja proletariacka; Władysław Wójcik — Los chłopca tu i tam; Stanisław Cieślak — Aparat cywilizacji technicznej narodu; Piotr Chmura — Zmartwienia „liberała”; Stanisław Kostka Neumann — 28 października 1918 (wiersz); Stefan Żary — Zolnierze i fontanny (wiersz); Marietta Szaginian: „Kalewala”. Liśty: Marian Minias — Z Łowickiego, Paweł Chadał — Z ubogiej części Lubelszczyzny (projekt do dyskusji); Ludwik Młot — Na Podhalu; Polemiki: Jerzy Cios — Chopin to geniusz — ale dlaczego?; Lech Budrecki — Tylko tradycje ostatniej daty?; Intelektualiści w walce o pokój; (em) — Zjazd pisarzy czechosłowackich; Fakty i zdania; 26 ilustracji; 12 stron.

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL,

Redaguje Komitet.

Adres Redakcji i Administracji: Łódź, ul. Piotrkowska Nr 133, telefon 100-98.

Wydawca: ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ. REDAKCJA RĘKOPISÓW NIE ZWRACA.

Ogłoszenia przyjmuje Administracja — Łódź, Piotrkowska 133, telefon 100-98.

Warunki prenumeraty: miesięcznie 80,— zł; kwartalnie 240,— zł; półrocznie 480,— zł; rocznie 960,— zł.

Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO ŁÓDŹ VII—1080.

Drukarnia Nr 4 Sp. Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik” — Łódź, ul. Zwirki 2.

D-036216